

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Anna Skoczylas

Kram Pod Czerwonym Grzybem

Chodziłam tu co dzień. Czerwony słup podtrzymujący strop na podobieństwo gigantycznego grzyba. Kilka stolików wokół. Ciemno od dymu. Nieustannie towarzyszące uczucie duszności. Ale siedzę, nie ruszam się z miejsca. Słucham, co mówią. Patrzą na nich, jak chodzą wokół tego słupa, śmieją się hałaśliwie, tłoczą koło barku po kawę. Przychodzą tu co dzień. Każdego ranka czeka ich to samo. Te same twarze, te same gesty, ta sama kawa. Nikt z nich potrafiłby powiedzieć: po co? Ja też nie potrafię.

Co dzień każą mi żyć. Budzić się o tej samej godzinie, wstawać, ścielić łóżko – najgorsze zajęcie dnia – jeść śniadanie, jeść obiad. A potem na kawę. Do barku Pod Czerwonym Grzybem. Tak go nazwałam. Wiele rzeczy nazywam sobie po swojemu. Moje własne imiona, przydane rzeczom, ludziom, miejscom. Trzeba mieć coś swojego.

Jestem dekoratorem wystaw. Bywa z tego forsa, nawet niezła. A kiedy indziej tylko orka. Zadowolenia natomiast nigdy. Komuś tu chyba czegoś brak. Mnie – czy światu? Czas by już było się dowiedzieć.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze mi zabierano moją własność. Nawet babki z piasku mi zabierano. Później niewiele się zmieniło. Nigdy nie mogę mieć czegoś dla siebie. Zabierają mi ludzi, zabierają dni. Kradną spokój, dawno nie ma go już we mnie. Skończyło się, kiedy pojęłam, że to, co chcemy uważać za swoje, jest fikcją. Nie ma. Nikt nie ma monopolu na nikogo. Własność jest sprawą umowną. Istnieje – jak długo chce się nam w nią wierzyć. Kończy się któregoś dnia przez mniej lub więcej głupi przypadek. I znowu mamy nic. Zostajemy sami ze sobą. Jest to jedyna własność przez nikogo nie odebrana. Mamy siebie od rana do wieczora, czy nam się to podoba, czy nie. Swoje humory, złości, ciągłą obecność własnego ciała, czy mamy na to ochotę, czy nie. Reszta jest umowna. Z początku trudno się z tym pogodzić. Ale powoli, powoli. Czas robi swoje. Umiemy przecież wyciągać wnioski. Więc można sobie tworzyć przynajmniej własne nazwy.

Wczoraj Kim pokazał mi przez szybę, co napisane po drugiej stronie ulicy. Piliśmy wódkę na kredyt, bo już wszystko przepił, a następna forsa będzie nie wiadomo kiedy. – Przeczytaj sobie tam koło tego czerwonego auta. Dalej jest PRALNIA i WĘDLINY, ale to nieważne. – A więc było tam napisane tyle co seul, jak by się to powiedziało w Paryżu, albo alone, albo jeszcze inaczej. W zależności od miejsca.

Z Witkiem też dzieje się podobnie. Mieszka w tym mieszkaniu co ja i wszyscy myślą, że śpimy ze sobą. Tak dalece są tego pewni, że nawet nie przychodzi nam do głowy, żeby im odbierać tę pewność. Niech sobie myślą, skoro im z tym dobrze. Nie będziemy rozwiewać im złudzeń. Wystarczy, że my sami wiemy, jak jest.

Obecność Witka w mieszkaniu bardzo mi pomaga. Inaczej byłoby za duże i za puste. Są chwile, kiedy czuję, że zaraz wszystko się zawali. Sufit, ściana, lampa. I zadusi mnie. Przeważnie nocą, kiedy jestem sama, a Witek śpi tam w swoim pokoju i jest wtedy okropnie daleko. Czasem nawet i w dzień, kiedy Witka nie ma, bo wyszedł do miasta albo wyjechał na kilka dni. Zrywam się wtedy, wkładam płaszcz i wynoszę się na ulicę, obojętne, która to godzina. Żeby nie być już tak bardzo sama ze sobą. To mija w

tłumie ludzi, w tramwaju, gdy uciekają za szybą oświetlone witryny sklepów. Nie ma jednak całkowitej pewności, że minie.

Kiedy Witek jest w domu, zwykle gra na gitarze. Lubię go słuchać. Dawniej, w czasach Stefana, nigdy nie czułam, że mieszkanie jest za duże. To tak na marginesie, a właściwie poza nawiasem, bo Stefan nie liczy się już. Wydaje się, że nie istniał. Mimo że są tu jeszcze jego rzeczy, parę drobiazgów, które zostawił przez zapomnienie. Drażniły mnie jeszcze długo potem, ale jakoś nie mogłam się zdobyć na wyrzucenie. Teraz nie różnią się niczym od innych przedmiotów.

Gdzieś wtedy zaczęłam właśnie przychodzić Pod Czerwonego Grzyba. Mówią na to jeszcze: giełda. Różne siedemnastki i osiemnastki wysiadują tu codziennie całymi godzinami i czekają. Na zmianę życiorysu, mówi Kim. Na tych reżyserów z teatru i telewizji, pisarzy, filmowców, fotografów, znanych aktorów i innych jeleni z forsa. Może właśnie dziś uda się. Więc siedzą i czekają.

Witek też jest taki. Co dzień wieczór wychodzi w miasto szukać dziewczyny swojego życia. Jeszcze jej dotąd nie znalazł. Mimo że już tyle lat. Przez ten czas zdarzały mu się tylko pomyłki. Na jedną noc, a w najlepszym razie na kilka nocy. Później nie może na nie patrzeć. I znów ma tylko siebie na własność. Jak wszyscy. Więc kończy się na wódce. Zwykle każdy dzień kończy się w ten sposób. Jak długo wystarczą pieniądze.

Z Kimem podobnie. Właściwie odkąd go znam, nie zdarzyło mi się go spotkać na trzeźwo. Zawsze jest co najmniej po dwóch setkach. A wieczorami bywa, że po ośmiu. Spotykamy się po to, żeby pić. We dwoje. Kiedy indziej pijemy każde osobno. Z Kimem dobrze się pije, bo w odróżnieniu ode mnie potrafi mówić, podczas gdy ja umiem już rozmawiać tylko sama ze sobą. Kim gada przez cały czas, twarz mu się nie zamyka, a ja już nie muszę, tylko słucham, i to uspokaja. Zmniejsza strach, który wciąż jest ze mną. Wiem, że mogłoby mi być dobrze z Kimem. Tak zupełnie. Gdybyśmy oboje potrafili w to uwierzyć. Ale pewnie nic z tego nie będzie, bo nie robimy w tym kierunku najmniejszego wysiłku. Zmęczyło nas już przedtem. Ktoś powiedział, że kocham Kima, to widać od razu, jak się na mnie spojrzy, kiedy jesteśmy razem. Widocznie ten ktoś wie, co mówi. Z pewnością zna się na tym, skoro tak twierdzi. Ja nie. Może gdybyśmy żyli w innym czasie, tych parę setek w tył albo w przód. Może.

Pewne jest, że dziś nic z niczego nie wynika. Nie można powiedzieć, że jeśli ktoś zaczął coś robić wczoraj, jutro będzie to ciągnął dalej, do końca. Chociaż logika dyktuje właśnie taką, a nie inną drogę. Od dawna przestałam się bawić w myślenie logiczne. Dziś nie ma żadnych reguł, a następstwa przyczyn są zawsze inne, niżby się przypuszczało. Z całą pewnością jest tylko jedno. Nieobliczalny bałagan. Dlatego nigdy nie można przewidzieć, co ten drugi zrobi.

Tak właśnie jest z Kimem. Kilka lat temu znałam jeszcze uczucie zazdrości. Śmieszny balast! Jeśli się już przyjęło, że własność nie istnieje, zazdrość okazuje się niepotrzebna. Zanika, jak zanika uczucie pewności, że kogoś kochamy. Miłość staje się sprawą umowną. Albo wmawiamy w siebie, że jest, albo odwrotnie. W obu wypadkach niezgodne z prawdą.

Może to sprawa wolności. Kim bez przerwy o niej gada. Kiedy pije wódkę, kiedy nie chce mu się iść do roboty albo na spotkanie, kiedy po

tysiąc razy na dzień robi nie to, co powinien, co sobie obiecał. Wtedy ma pełne usta tej wolności. To takie pojęcie-klucz, zastępuje mu wszystko. A naprawdę? Jeszcze jedna forma bałaganu. Czasem chciałoby się tu coś uporządkować, chociaż na pięć minut. Ale zaraz mówi się sobie: po co? Nie warto, mówi się sobie, wymyślać cudów. I tak będzie, jak będzie, a nie jak by się chciało. I już ma się to wszystko z głowy.

I później pętam się nocami po mieście sama. Widzisz, jak to jest, Kim, mówię tak sobie idąc, muszę w siebie z całej siły wmawiać, że jesteś, kiedy już jesteś, tak cholernie cię nie ma przedtem i potem; muszę w siebie wmawiać tę naszą historię, bo nie bardzo już wiem, jak to jest naprawdę, czy ona istnieje, czy nie. Odchodzisz zawsze do tych swoich zajęć, a zresztą czy ja wiem gdzie, dość, że odchodzisz i już. I dzieje się tak za każdym razem, bez wyjątku i bez względu na cokolwiek; dzieje się i nie mam na to żadnego wpływu, i nawet nie warto się zastanawiać. Często wydaje mi się, że siedzę w kinie i oglądam sobie z boku, z dystansu kilku rzędów foteli, tę parę znajomych. Ciągłe patrzę na nas z boku, Kim, na ciebie i mnie razem, i może to dobre, a może złe, może tak nie powinno być. Nie umiem inaczej. Oni wszyscy uczynili mnie taką, Kim, wykonali mnie, jak mówisz. Napracowali się nade mną przez lata. Przedtem było lepiej. Ale już nie umiem. Obijam się o te ściany, mury. Duszę w tym wszystkim, rozpływam. Tak jakoś zupełnie bez sensu.

Ludzie wciąż mówią o przemijaniu. To raczej zanikanie pewnych wartości, do których przyzwyczailiśmy się, że są takie, a nie inne. Później, po latach, kurczą się. Zostaje wypaczony, kaleki obraz tego, co było. Wtedy jest źle, uświadomić sobie, wiedzieć, pamiętać. Jak to dawniej a dziś. Nie chcę, żebyś przeminął, Kim, jak przeminęło już tylu ludzi przy mnie, koło mnie. Zginęli i nie ma ich. Nic szkodzi, że w rzeczywistości żyją i chodzą po świecie. Dla mnie zginęli. Nie mam im nic do powiedzenia. To gorzej, niż gdyby umarli.

Więc nie patrz na mnie tym swoim pustym, nic nie widzącym spojrzeniem, jak ci się to niekiedy zdarza. W tym patrzeniu siedzi całe przemijanie. A ja nie chcę, żebyś mijał. Raz jeden wygrać w tej loteryjce z czasem. Spróbować, jak dawniej, bardzo chcieć. Takie zrywy z przyzwyczajenia, że kiedyś się potrafiło. Postarać się coś zrobić, żebyś nie mijał. Taka zupełnie prostacka naiwność. Chęć przewyciężenia prawd oczywistych.

Ludziom się zdaje. Całe życie im się wydaje, że coś mogą. Poprawić, zmienić. Dziecinne przyzwyczajenia, których nie możemy się pozbyć. Ciągłe jeszcze tak dużo we mnie buntu. Nie potrafię się nagiąć. Uwolnić od dziecinady. Uwolnić od złudzeń. Nie chcę, żeby mną kierowały przypadki. Ani z własnej ochoty kłaść głowę na pień, kiedy rządzą mną poza moimi plecami zdarzenia. Żeby nie musieć dzielić ciebie z innymi, Kim. Żeby mi inni nie odbierali twoich godzin i dni. Nie kopali między nami odległości. Nie wyznaczali czasu, kiedy mam być z tobą.

Lepiej, kiedy jesteśmy puści i wolni od wszystkiego. Przeważnie po całym dniu orki. Obojętne, jaka by ona była. Ale rzadko udaje się osiągnąć absolutną próżnię. Ciągłe coś zostaje i szarpie tam w środku, podszarpuje po kawałku jak wygłodniały kundel. I ma się ochotę chwycić go za gardło, tego kundla, i udusić na dobre. Najlepiej podobno załatwia to kielich. Niestety, nie na długo.

Witek często jest w próżni. Zdobywa ją właśnie przy pomocy wódki. Kiedy patrzę na niego w takich chwilach, ogarnia mnie strach. Wygląda, jakby została już z niego tylko powłoka i to nic w środku. Nie przychodzi mi jakoś do głowy, że ze mną też tak samo. Widocznie nieuważnie oglądamy własną twarz w lustrze. Witek próbuje przechytryć to coś, co nazywamy rzeczywistością. Jeszcze są w nim resztki siły. Nie wypaliło się do końca. Więc gada i gada, jakby mu płacili od kila. Myśli, że wymyśli. Jest jeszcze na tyle zielony, że mu się wydaje. To te resztki które się w nim jeszcze tłuką. Wydaje mu się, że on jeden będzie lepszy. A tu nie bardzo jest sposób. Nawet gdyby mieć dowolną ilość pieniędzy. Można tylko opóźnić. Ten zalew bezsensu. Gdzieś tam postanowiono już naprzód za nas. I nie pytano nikogo o zdanie. Co my na to? Chcemy czy nie chcemy. Trzeba więc podobno spróbować się pogodzić. Brać za dobrą monetę. Skoro nie ma rady. Bo pewnie nie urodzimy się po raz drugi. Z tą wędrówką dusz jeszcze nic nie wiadomo.

Spotkamy się na Kasjopei. Była taka książka. Pewnie tam się to uda. Tu niemożliwe jest spotkanie człowieka z człowiekiem. Tak na dłużej. Zdarza się czasami nad szklanką pełną wódki i trwa dokładnie tyle, ile jej wypicie. Ani chwili dłużej. Gdyby nie wódka, nie natknęłabym się na Kima, nie wiedziałabym w ogóle, że istnieje. Nie znaleźlibyśmy się. A tak, jeśli chcę, mogę się łudzić, że jest to spotkanie na czas dłuższy. Wódki jeszcze wystarczy. Zresztą Kim jest tu nieważny. Zwyczajnie, człowiek. Tyle że trochę podobny do mnie. W drobiazgach, oczywiście. Ale tych bardzo istotnych. Chodzi o przystawanie osobowości. Kiedy na małą chwilę robi się lepiej. Można wreszcie z kimś porozmawiać a nie tylko tak ciągle ze sobą.

Niekiedy jeszcze rozmawiam z Witkiem. W przerwach między jedną dziewczyną a drugą ma trochę czasu dla mnie. Wtedy wyrzuca z siebie to, co nie daje mu spokoju. I gdyby tak można było pomóc komuś drugiemu, zrobiłabym to na pewno dla Witka! Taki jest czasem nieporadny, gubi się w tym całym maglu jak małe dziecko. Ale wiadomo. Nie mogę. Więc tylko słucham. Całymi godzinami słucham jego szarpaniny, jak mociuje się z tym brudem naokoło i jak w końcu zawsze ulega. Jak inni. I potem zostaje mu tylko kompletna obojętność. A kiedy możemy się pogodzić z własną, bośmy już jej doświadczyli, o ileż trudniej jest patrzeć, jak ktoś bliski obok kończy się, jak jego marzenia i chęci rozplývają się w tym niczym, co jest.

Ze mną i z Kimem to różnie. Tak albo tak. Ale kiedy jesteśmy razem w pokoju, to z całą pewnością nic nas nie dzieli. Zawsze jest najpełniej i tak jak powinno być. Często nawet jeszcze lepiej. A zaraz później to wszystko nieprawda, jak powiedziałeś. To, co myślimy o sobie. Opowiadamy bajeczki o uczuciach, wiedząc z góry, że nieprawda. A kiedy nawet prawda,

boimy się nazwać to coś, co nami rządzi. Jesteśmy tak cholernie zakłamani. Ze strachu, Kim, ze strachu, że zaraz się zmieni, zanim jeszcze wypowiesz, zanim skończysz mówić. Niczego nie da się ustalić. Pędzimy z tym naszym światem w kosmos i nie pozwolą nam zatrzymać się ani na chwilę. Ciągła gonitwa z miejsca na miejsce. Ustawiczne wrażenie nierzeczywistości. Wszystko jest prowizoryczne i na tymczasem. Nie wiemy o sobie nic na pewno, Kim. Nazywasz wolnością to, że nie stawiamy sobie ciekawskich pytań. A może to tylko błędzenie po ciemku? Wiem. Jesteś reporterem od zdjęć w jakimś piśmie, a kiedy wypijesz, słyszę o tym filmie, który chciałbyś koniecznie zrobić. Tyle to właśnie wiem o tobie. Te, poniekąd, najmniej ważne rzeczy, które niektórym wydają się najistotniejsze. Praca za pieniądze zwykle nie ma nic wspólnego z pragnieniami. To tylko chamska konieczność, żeby przeżyć. Może chociaż ten film, o którym wspominasz, mógłby być tym, czego naprawdę chcesz. Ale widocznie nie stać cię na urzeczywistnienie, skoro tylko mówisz. A gdzie jest to, o czym nie mówisz? Te miejsca przemilczeń, o których nic nie wiem.

Ty niczego nie szukasz, Kim. Ani nikogo. Może te puste miejsca to właśnie dziewczyny, o których nie mówisz. Może. Przyjęliśmy przecież zwyczaj niestawiania pytań. To bardzo współcześnie i elegancko. Spotkałam cię dotąd jedynie raz Pod Czerwonym Grzybem. A tam można się czegoś więcej dowiedzieć o człowieku.

Ty niczego nie chcesz, Kim. Nie pociąga cię już żadna przygoda. Jeśli coś mówisz, to z przyzwyczajenia. Znasz tylko jedno. Wódkę. Znaczą dla ciebie mniej niż setka czystej. Za każdym razem zrobiłbyś zamianę. Ciągłe dostrzegam w tobie chęć końca. Nie końca między nami, ale tego w ogóle. A jeśli mówię, że także mam dość, nieraz chciałabym przerwać ten ciąg bezsensu, śmiejesz się ze mnie, że nie umiem pić. Każdy ma wolność układania tego własnego bałaganu w sposób najłatwiejszy do zniesienia. Czasem to właśnie umiejętność przerywania w miejscu, po którym wszystko dalej byłoby już tylko zeszmaceniem się. Więc pozwól mi decydować. Nie bawmy się przynajmniej w kłamstwa, skoro już musimy przemilczać. Dajmy sobie tę wolność, o której tyle gadasz mi nad uchem. To także jest jakaś forma. Możliwość decydowania o tym, co nazywamy własną twarzą. Chcę ją zachować najdłużej, jak tylko się da. Najlepiej do końca. Potem już nie będzie ważne.

Stefan był nieuleczalnym optymistą. Widział wszystko na różowo. Miał to już chorobliwe i był nie do zniesienia. Dla mnie kwalifikował się do zakładu z tym ciągłym przekręcaniem rzeczywistości. Któregoś dnia nie wytrzymałam. Powiedziałam mu, żeby sobie poszedł, bo zwariuję. Zrobił to z tym samym uśmiechem zadowolenia co zawsze. Zostawił mieszkanie, ładnych parę lat życia, przyjaciół, miejsca, do których się przyzwyczał. Z uśmiechem zniknął mi z oczu.

Ty mój skowronku, mówiłam, kiedy pełen radości gulgot Stefana wypełniał cały dom. O każdej porze dnia nawet w nocy można go było słyszeć, jak z entuzjazmem wymyślał nowe niemożliwości. – Ty mój skowronku, przestań wreszcie ćwierkać z baranym uporem, cicho bądź! To jest nie do wytrzymania, twoja ciągła radość ze wszystkiego. Nie można jej słuchać, bo jest zmyślona. Może zresztą była prawdziwa, ale wówczas musiałabym przyjąć, że Stefan jest skończonym durniem. I sama wyglądałabym jeszcze gorzej.

Nie trawię kłamstwa, obojętne, w jakiej jest ono formie. Może być właśnie ową baranią euforią, jaką częstował mnie co dzień Stefan. Witek nigdy nie kłamie. Ma różne nastroje, często tak krańcowe, że jedna wypowiedź przeczy drugiej. Ale to nie szkodzi, bo zawsze jest autentyczny. Kim także. To jego jedyna zaleta.

Z Kimem na ogół spotykamy się bardzo dziwnie. Najczęściej przypadkowo. Nieraz muszę go poszukać, gdy go długo nie ma. Przebiegam ulice, knajpy, żeby natknąć się na niego niby przypadkiem. Innym razem znowu on mnie szuka po całym mieście, kiedy mu przyjdzie ochota wypić akurat ze mną. Nie jest przecież moją własnością. Powiedzieliśmy już, że wszystko jest umowne. Ciągłe będziemy żyli z tą umownością. Aż któreś z nas nie niesie tego dłużej i skończy się. Zwykła kolej rzeczy.

Tu, pod Czerwonym Grzybem, wszyscy siedzą i patrzą, jak im się coś kończy. Czekają na to. Każdego dnia ktoś z nich wykańcza kogoś drugiego i tak w kółko. Nic się nie zmienia od lat.

Najgorsze są świty. Otwieram oczy i znów ten sam pokój, meble, ściany i ja wśród nich. Wtedy zostaje już tylko płacz. Człowiek, który dopiero co otworzył oczy, nie ma jeszcze czasu udawać. Jego gra jeszcze się nie zdążyła zacząć. Wtedy ten napis pokazany przez Kima staje się szczególnie wyrazisty. Nie ma już nic poza stwierdzeniem i uświadomieniem sobie, że tak jest w istocie. I wtedy przychodzi największy strach. Zjawia się natychmiast, kiedy tylko otworzy się oczy. Przeróżające, przytłaczające odkrycie, że znowu obudziłeś się do nowego dnia. Musisz go przeżyć. Brnąć przez niego, godzina po godzinie, aż do wieczora, do nocy, kiedy nareszcie zwolni cię z tego obowiązku sen, o ile przyjdzie. Boję się świtów.

Kiedy jest przy mnie Kim, kiedy budzę się obok niego i od razu wiem, że jest, napis nie pojawia się. Przychodzi strach, ale inny. Nie jest to już strach mój, odpowiedzialność za siebie, tylko strach za Kima, za ten jego dzień, który wstaje. Boję się o niego, czy da sobie z nim radę, czy nie. I boję się o nas, czy przetrwamy dla siebie jeszcze trochę, o ten jeden dzień dłużej, czy już ta katastrofa nieuchronna, na którą każde z nas czeka od samego początku, od chwili, kiedy spotkaliśmy się. Czy Kim kiedykolwiek bał się za mnie? Za mój dzień?

Kim jest mi potrzebny. W największym stopniu, w jakim może być potrzebny człowiek. To, o czym mówię, jest siłą, z jaką łapie się na oceanie kawał pływającej deski. Jeszcze raz ta historyjka o tonącym, banalna, przysłowiowa. Kim jest właśnie dla mnie taką pływającą deską. A to, co czuję, kiedy go widzę, jest uporem kurczowego chwytu. Żeby tylko nie puścić. Miło, kiedy się tak na moment odejdzie i popatrzy z boku. Ogromnie budujące. W kontekście tego, co tam nieraz słyszę obok mnie. Wszystko zniesie. Niby ja. Albo o kocie, co zawsze na cztery łapy. Cholernie dużo wiedzą. Deski podobno nigdy nie toną, ale kiedyś zwyczajnie zbraknie mi sił do trzymania. A wtedy co? Nie znajduje się drzewa na oceanie co krok.

Dzięki Kimowi potrafię jeszcze czasem w coś uwierzyć. Kiedy jest obok, kiedy mówi. W tym jego gadaniu jest jakiś oddźwięk, jakieś echo. Widać, że dociera do niego dużo z tego, co powinno dotrzeć do każdego, a przeważnie nie dochodzi. Ci inni, których spotyka się co dzień, tępi są jak koły. Zakorkowani na głucho, jak by to można określić najwygodniej.

Czasem to jest noc, bardzo późna pora, kiedy spotykam Kima, bo wyszedł do miasta się przewietrzyć. Nie lubi siedzieć w domu. Zwłaszcza sam. Ciągłe coś gna go w świat. Na ulicę. Między ludzi, których właściwie nie znosi, którymi gardzi. Śmieszne, bo ja też mam to samo. Więc bywa, że spotykamy się w mieście. Tak zupełnie przypadkiem, nie umówieni, i cieszymy się sobą. Lubię Kima właśnie za to, że można go spotkać na ulicy o różnych porach i wiadomo wtedy, że nie ma nic do roboty, tylko wyszedł tak sobie. I wówczas można do niego mówić wszystko i można go słuchać bardzo długo. I od razu dzieje się tak, że jesteśmy tylko my dwoje na wielkiej pustej ulicy ogromnego miasta. Obojętne, gdzie się znajdujemy i kto jest obok, zawsze tak jest. Może przez to przystawanie osobowości należymy do siebie w sposób szczególny i to nas odgradza od reszty. – Żeby na chwilę przestać udawać, mówi Kim.

A potem znowu dni całkowitej obojętności. Myśli przełazące na kształt ciężarnych owiec, tępota ścian, tępota mebli. Nic, o co by zaczepić choć cień zainteresowania. Znienawidzone sprawy. Chęć upadnięcia twarzą w pustkę. Żeby się już nigdy więcej nie musieć podnosić. Żeby nie musieć. Ale zaraz każą. Zmuszą do przekłętogo, znienawidzonego działania. Tak – dla zasady. I jeśli nie doszło się jeszcze do pełnej rezygnacji, no to się podnosi głowę do góry i setny raz od początku znajduje nowe złudzenia, dla których warto.

Ale tak naprawdę to nonsens, żeby ktoś był komuś potrzebny. Tylko wódka jest potrzebna niektórym. Zastąpi z całą pewnością. Przynajmniej tak się wydaje.

Kim myśli, że na dnie szklanki znajdzie tę swoją wolność, Kiedy przepije już wszystko, co ma. Zresztą nie on jeden. Inni też tak. Myślą, że się uwolnią. Chyba tylko od własnych pieniędzy. Bo ani od siebie, ani od świata. Żaden z nich nie potrafi zrobić tego, co chce, bez wódki. Zwyczajnie. Poderwać dziewczyny albo strzelić kogoś w pysk, kto w naszym mniemaniu na to zasłużył, nagadać co trzeba i spokojnie odejść, z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku. Obowiązku wobec siebie. Bez wódki nie potrafią. Muszą się nią zasłaniać. Żeby ich usprawiedliwiła w tym, co robią. Nie mają zupełnie poczucia własnej wartości ani własnej racji postępowania. Tylko tchórzliwie podszywają się pod alkohol. Całe życie nie

potrafią wybrać. Z kilku możliwości jednej. Właściwej. Wygląda na to, że niemal każdy, komu podaje się rękę na powitanie, jest tchórzem.

Najważniejsze, żeby nigdy nie powiedzieć sobie: jest dobrze, powiedziała któregoś dnia Magdalena, nie wolno w to uwierzyć, bo wtedy koniec. Nie mówiłam jeszcze o Magdalenie. Przychodzi także Pod Czerwonego Grzyba. Wspaniała dziewczyna. Od włosów aż po paznokcie. Ktoś mógłby myśleć, że jej łatwiej. Ale z Magdaleną dzieje się to co z innymi. Pije. Pije czasem całymi dniami. Ta dziewczyna o twarzy jak z Tycjana ma tyleż powodów co i inni. Patrę na nią, kiedy siedzi tu, Pod czerwonym Grzybem, i wypłata byle co, patrę, jak ciągnie tę wódkę, kielich za kielichem, po najbardziej zaplutyh knajpach w mieście. Gdyby nie to, że jest tak cholernie w stylu we wszystkim, co robi, może obudziłaby się we mnie nienawiść, kiedy na nią patrę. Jest za dobra. Ale znam ją. Wiem o każdym jej dniu, który jest tylko walką o utrzymanie tego właśnie wysokiego pułapu, który odróżnia ją od reszty i budzi podziw. Magdalena nigdy nie będzie niczym lokajem. – Ja mam taki swój sposób, mówi, to jest silniejsze ode mnie, kiedy przychodzę tu, choćby mi było najgorzej, zaraz się śmieję od ucha do ucha, choćbym nie chciała, muszę, samo się tak robi. – Mowa, oczywiście, o Czerwonym Grzybie, o tej dziurze, gdzie z maniackim uporem szuka się śladów kłęski na cudzej twarzy. Magdalena wie o tym aż za dobrze. Nie chce im dawać powodów do radości. Zawsze jest dobrze ubrana i stara się mieć przy sobie dobrego chłopca do pokazania. Ta główka z obrazu Tycjana myśli. Po co więc zagląda tu, kiedy stać ją na coś lepszego niż to, co może ją spotkać Pod Czerwonym Grzybem? Widocznie działa tu ta sama konieczność co u tamtych innych. Któregoś dnia Magdalena opiała się dokładnie, biegła po ulicach i zrywała klepsydry spod kościołów. Kiedy miała ich już cały pęk, weszła do najbliższej knajpy, a była to przez przypadek najbardziej ekskluzywna knajpa w mieście, i rozrzuciła je wszystkie na tych ludzi, co siedzieli, krzycząc: święty, święty. Pewnie jej się przypomniało, jak to dzieci sypią kwiatki na procesjach. Zanim ktokolwiek podniósł się zza stolika, uciekła.

Nie można znaleźć sposobu, choćby się go szukało nie wiem jak. Wszyscy o tym doskonale wiedzą. Mimo to wciąż próbują ten sposób znaleźć. Nie chcą się poddać. Tak cholernie długo nie chcą się poddać. Jakby wierzyli, że im się uda. Ciągłe w coś wierzą. Śmieszni. Na tym najbardziej umownym ze światów nic prócz śmierci nie jest prawdziwe. Wszystko inne odrealnione jest i nienaturalne. Siedzimy w białym tiulu tak gęstym, że czuje się jego zapach. Wystarczy nosem pociągnąć. Znajomy zapach nierzeczywistości. Nasze ruchy są zwolnione jak na trikowym filmie, przyglądamy się ludziom, drzewom, domom, dotykamy sprzętów, wciąż przez ten biały tiul. Powoli zbliżamy się do końca. Co dzień, co godzinę. Kończysz się przez tiul. Chciałbyś go zedrzeć, nie możesz. Tyle już lat nie możesz. Chciałbyś nareszcie zobaczyć to wszystko czyste, a nie przez siatkę, chciałbyś to złapać w ręce, z całej siły. Nie możesz. A potem nazywają to chorobą psychiczną.

W końcu wszystko sprowadza się do tego, że żyjemy w tył. Nie na dziś, nie na jutro, tylko do tyłu. Jak to działa się wtedy a wtedy, gdzie i z kim? Bardzo niepraktyczna forma egzystencji. Wyławiamy te wspominki. Krótkie okresy, kiedy było jako tako. O których śmiało można powiedzieć:

opłaciło się żyć. To, w czym tkwiła choć odrobina sensu, powraca i staje się najważniejsze. Następny krok w nierzeczywistość. Figle wyobraźni przysyłają nam dzień dzisiejszy. Dlatego zapewne spóźniamy się na wszystko. Zanim dotrze do naszej świadomości, jest już za późno. Było.

A obok dzień jak co dzień. Sakramentalny rytuał mleka. Żeby się tylko nie zwarzyło. Albo nie wykopiało. Ścielenie łóżka. Sprzątanie. Mycie naczyń. Nie otwierać okna, bo ta z góry trzepie dywan. Wciąż jakieś brudne derki powiewają na widnokręgu. Pióra lecą z pierzyny. Dzień jak co dzień. Najlepiej byłoby rozwalić głowę o którąś ze ścian. Marzenie, którego i tak nie wykonamy. Niczego nie załatwi.

A więc być. Akceptować. Zgadzać się na bezsens. Zgadzać się na nudę. Cały ten cholerny marazm przyjmować z dziecinną radością. Z wybuchem entuzjazmu jak Stefan. Do sanatorium i tak nie trafimy. Za mało szans na pensjonat, z którego się nie wychodzi. Na dom wczasowy, gdzie drzwi nie mają klamek. Jeszcześmy do niego nie dorośli. Jeszcze za wcześnie. Tylko nielicznym udało się dostąpić zaszczytu. Nas jeszcze nie stać na luksus. Ale jeśli komuś się nie chce. Jeśli się komuś tak cholernie nie chce. A musi, wciąż nie wiadomo, po co?

Nienawidzę rzeczy. Są największym wrogiem człowieka. Te drobne przedmiociki codziennego użytku wyrafinowane w swej złośliwości. Nawet spinka do włosów robi z ciebie balona. Najlepiej, kiedy przedmioty mają swój dzień. Zaczynasz być zabawką w ich rękę. Rządzą tobą. Te urywające się guziki u płaszcza, kiedy gdzieś bardzo się spieszysz i musisz natychmiast wyjść z domu. Te ohydnie nie układające się włosy. Rozsypany na swetrze puder. Oczka na pończosze. Piekielne drobiazgi. Dziś właśnie zmówiły się na ciebie. Wszystkie. Świetny jest taki dzień przedmiotów. Wychodzisz jak wymaglowana z utarczki z nimi. A potem na ulicy odjeżdżają ci sprzed nosa tramwaje i autobusy, ochlapuje cię błotem każde auto, wiatr łamie parasolkę, woda wlewa się do butów i tak dalej, i tak dalej. To właśnie jest byt w kondensacie.

Mówi się o granicy. Nieprawda. Nie istnieje. Nieograniczona jest pojemność człowieka. Można mu wszystko powiedzieć i wszystko zrobić. Zniesie. Przeżyje. Nie ma granicy wytrzymałości na ból. Przynajmniej ja jej nie znalazłam. U siebie. U innych zawsze się w końcu znajdzie. Tu nie chodzi o skaleczoną rękę, tylko o te inne sprawy. A więc prędzej czy później zaczną urządzić histerie. Tylko mnie nie wolno. Nie ma dla mnie progu, poza którym miałabym nareszcie prawo do robienia tego, co chcę. Do mówienia tego, co chcę. Prawo do krzyku. Nic więcej. Żeby móc na głos. A nie wciąż sobie, tylko sobie. Po cichu. Nie można, bo zaraz kwasy, zaraz dąsy; od razu: ordynarna, od razu: nie wychowana, stuknięta, albo lepiej: głupia. Niczego nie można ludziom powiedzieć otwarcie. Trzeba chować, udawać, że nigdy nie zaszło. Potem się już w ogóle nie wie, czy się czegoś chciało, czy nie. Potem już wszystko jedno. Przystaje być ważne. Dopiero wówczas jest jak trzeba. Kiedy się nie wie nic. O sobie ani o swoich pragnieniach.

Zarzucają mi brak cierpliwości. Wszystko musisz mieć od razu, mówią. A pewnego dnia kończy się we mnie. Ochota na cokolwiek. Kończy się i nie mam na to wpływu. Jakby zatrzasnęła okute drzwi. Nie ruszę ich już, tych drzwi w sobie, choćbym chciała.

Cała bieda leży w tym, że ten nasz piękny światek, pełen umowności, roi się od żebraków i tych, którzy w każdym widzą swojego lokaja. Z małymi wyjątkami zawsze da się ludzi podciągnąć pod jedno lub drugie. Więc niektórzy proszą. O pieniądze proszą. O miłość proszą. O to, żeby ich lubić, żeby się przespać z nimi. Chodzą i żebrzą. Ci inni natomiast – odwrotnie. Wszystko im się należy. Okażesz takiemu trochę dobrej woli, raz i drugi, zaraz myślą, że można ci wejść na głowę i usiąść na niej, bo akurat świetnie się do tego nadajesz. I jak długo będziesz się dziwić, czemu za twoje względy tak ci płacą, będą ci sumiennie dokładali coraz więcej. Ale kiedy już przyjdzie na ciebie olśnienie, bo już wreszcie zmądrzałeś, kiedy odwiniesz się z całej siły i powiesz coś mocnego – od razu zmiana frontu, zaskoczenie i już liżą cię po rękach w strachu. Nie jest to wcale takie zabawne, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka.

Koniecznien trzeba ludziom imponować Byle czym, aby tylko wzbudzić podziw. Ten szmerek zazdrości wokoło żeby był. Wtedy już dobrze. To nic, że cię nienawidzą. Kiedyś im przejdzie. Przyzwyczają się, żeś lepszy. O to chodzi. Potem się już pcha. Byle dalej. Zanim ten pierwszy siwy włos, a po nim te dalsze.

Może trzeba by to bardziej porządnie. Po kolei. Jak to się zaczęło. Od czego poszło. Że ja tu tak właśnie o tym i o tamtym. O wszystkim naraz. Bardzo trudno zebrać myśli, jedno po drugim, jak to leciało. Zresztą i tak się rozpada całe misterne budownictwo, konstrukcja nie wytrzymuje. Po co nagle tu. Układać. Porządkować. Nikt mi jeszcze nie zrobił porządku w żadnym miejscu. Ale muszę dalej. Wszyscy ciągle musimy dalej. Więc obojętne, jak się zaczęło ze Stefanem. Wystarczy, że było. A potem przestało być. Koniec. Kim. No, jaki był początek, gdzie go poznałaś, opowiedz. Jeśli powiem, że na ulicy, będzie to bujda, a jeśli w knajpie – też nieprawda. W świecie, zwyczajnie w świecie. Znałam go dawniej niż on mnie. Ktoś go później przyprowadził tu, gdzie wszystko zwykle się zaczyna. Do barku Pod Czerwonym Grzybem. Więcej już tam nie przyszedł. Wystarczył mu ten jeden raz. Później wyszliśmy na ulicę i plątaliśmy się po mieście chyba przez pół nocy. Po drodze zaglądaliśmy do różnych knajp. Na troszeczkę. I wszędzie po tej setce. Zaraz świat się zmienił do niepoznania. Miasto zrobiło się obcym miastem, gdzie człowiek znajduje się po raz pierwszy i wszystko odkrywa na nowo. Jakieś ulice, parki, ławki, drzewa, których nigdy nie było, może błoto, może śnieg. Nieważne. Tylko twarz pamiętam. Ona była bez przerwy nade mną. I oczy Kima. Czarniejsze od tej nocy naokoło. I pamiętam, że mówił. Dużo mówił. To było nie powiązane w całość, to mówienie, ale wystarczyło, żeby zmienić wszystko. Nie ma po co zresztą o tym wspominać. Notowanie urojeń czy snów. W rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej, tylko ja sobie wymyśliłam, że tak. Od czasu do czasu trzeba sobie zmyślić, bo inaczej nie można by dalej.

Najśmieszniej było za drugim razem. Umówiliśmy się przez telefon w kawiarni. Po dwóch miesiącach. Przecież ja cię nawet nie poznam, Kim. Przyjdiesz, a ja nie będę wiedziała, że to ty. Co zrobić? I od razu wiedziałam, kiedy tylko stanąłeś w drzwiach, jeszcze daleko ode mnie. Widocznie zawsze się wie w takich wypadkach. Niemożliwe, żeby nie wiedzieć. Jak z tym węchem u psa. Zawsze jest.

Więc odnaleźliśmy się znowu. Ale na jak długo? Posłuchaj, ty. Mógłbyś mnie uratować, wiem, co mówię. Tylko nie wiem, czy opłaca ci się to robić akurat ze mną. Ratowanie poniekąd jest nudne. Nie należy do przyjemności. Trzeba mieć powołanie, jak do klasztoru. Może wolisz inne zabawy, mniej angażujące. I będę musiała zostać sama ze sobą. Tylko jeszcze jedno: niech ci się później nie zrobi żal, przypadkiem, później, kiedy się już skończy i nie będziemy razem, bo nie chciałeś. Kiedy się skończy we mnie, nie potrafię już zrobić, żeby było z powrotem. Nie mogę zatrzymać tego kończenia się, jak nie da się zatrzymać kamienia, który spada.

Wiem. Może zdarzyć się wszystko między dwojgiem ludzi. Największe zbliżenie, największa intymność – i absolutnie nic nie wynika dalej. Jakby się ledwo znali z widzenia. Ile razy o tym myślę, ogarnia mnie złość, złość bez opamiętania. Tyle we mnie tej złości, aż mi dech odbiera, aż się z niej duszę. Nie pomogą żadne tłumaczenia. Wtedy wyobrażam sobie na przykład czyjaś śmierć. Powiedzmy Stefana. Widzę go, jak umiera, kończy się, dusi, rzyga krwią. Rozkoszuję się tą śmiercią, zadaję mu ją raz po raz na

różne sposoby. Patrzę na jego twarz wykrzywioną bólem, na tę twarz, z której już dawno znikły ostatki małpiej radości, została tylko męka i rozpacz. Ta moja codzienna rozpacz, którą lubię sobie wyobrażać na jego twarzy. W takie dni mogłabym spokojnie mordować, gdyby za to nie groziła kara więzienia. Spokojnie, bez mrugnięcia okiem.

Przypadek zjawiał się zwykle w kluczowych momentach i jak przegniła belka powodował zawalenie się całej konstrukcji budowanej z uporem przez lata. Był lepszy ode mnie. Nie dał się podejść, zaskoczyć znienacka. Walił w łeb, kiedy już byłam najzupełniej pewna swego. Pewna, że wygrałam. Może dlatego te swoje ważniejsze rzeczy staramy się zawsze robić dziś, Żadnej z tych ważnych rzeczy nie zostawiamy sobie na jutro ani na pojutrze ze strachu, że ucieknie. Może ten nerwowy pośpiech staje się właśnie przyczyną. Wywołuje wilka z lasu.

Dlatego mam związane ręce przy tobie, Kim. I usta też mam zakneblowane. Bo wierzę i nie wierzę jednocześnie. Nie wierzę, żeby cokolwiek można było poprawić przez ten właśnie nerwowy pośpiech na dziś. A zaraz, za chwilę zrywam się z miejsca i chcę biec. Żeby jeszcze dogonić. Złapać w ostatniej minucie. To coś, co jeszcze można uratować, zanim będzie już nieodwołalnie za późno. Zanim zostanie tylko jedno: sięść i wygrażać sobie pięściami, że się pozwoliło na to, co jest. Ale nie cierpię żebractwa, Kim. Nienawidzę tych, którzy żebrzą. Dopraszają się o jeszcze trochę więcej, niż dostali. Tych chytrusów, co zawsze chcą ponad miarę. Ale kto pozna własną miarę? Kto wie, ile to ma być? Siedzenie z założonymi rękami także nie przyda się na nic. Więc szarpię się każdego dnia i każdej nocy. Jak robić, żeby było właściwie. Żeby było tak, jak potrzeba. Nikt mi o tym nie chce powiedzieć, Kim. Muszę dojść do tego sama. Własnymi rękami. I własną głową. I płacić sama za każdą pomyłkę. Nikt jej za mnie nie odrobi. Nie zdejmie mi z głowy odpowiedzialności za własny los. Dlatego tak trudno i źle. Bardzo trudno. Wtedy właśnie musi się mieć człowieka, Kim. Kogoś, kto by swoim istnieniem uzasadniał nasz własny sens bycia. Żeby był tym pretekstem, dla którego robi się to, co się robi w ogóle, usprawiedliwieniem naszego pobytu na ziemi. Całe życie szukam takiego człowieka, Kim. Człowieka, który by zrozumiał i zgodził się być tym moim początkiem wszystkiego. Szukam go przez lata. Z tym samym baranym uporem wmawiam sobie ich po kolei, jednego po drugim, z jakim Stefan wmawiał w siebie świat na różowo. Przecież szansa na znalezienie człowieka istnieje każdego dnia od nowa. Udaje się niekiedy trafić na kogoś, z kim od pierwszej chwili zwiąże cię coś silnego. I to może potem długo trwać. Może już zostać. Taka nić między dwojgiem w każdej sytuacji. O której się wie na pewno. Nawet ci inni stojący z boku, też o niej wiedzą. Dlatego nie chcę, żeby się zepsuło, Kim, bo tylko to jest ważne, co uda się nam utrzymać między sobą. Cała reszta – to bzdura.

Wyprany nie wierzy już w żadne nici. Kładzie to między bajki. Wyprany to ten, któremu się nie udało. I postanowił się odgryźć. Z nawiązką. Gdzie może, to teraz sam psuje. Oczywiście innym, sobie też przy okazji. Wypranemu podoba się Magdalena. Nie przepuszcza więc żadnej sposobności, kiedy może znaleźć się blisko, i łapie ją za to lub za tamto. Skubie. Wyprany jest cwany. Dziewczyny nabierają się na niego. Nabierał w sobie tego cwaństwa z biegiem lat. Jego cieniem jest Kubuś. Kubuś został stworzony po to, żeby Wyprany miał komu wyjmować dziewczyny. Poza tym jest świetną pokrywką, pod którą kiszą się złe humory Wypranego. Kubuś jest bardzo przydatny, bo uszyty ze skrupułów. Na jego tle Wyprany zyskuje na dzielności. A martwić się nie musi, ma Kubusia, który robi to za niego. Maja mówi, że Wyprany nienawidzi. Dosłownie wszystkich. I dobrze mówi, ale Maja to już osobny rozdział.

Więc siedzi się Pod Czerwonym Grzybem i patrzy bezmyślnie przed siebie. Jaki ten świat mały. Jak na niewielkiej wysepce wszyscy się ze sobą mieszają. Dziewczyna, która zdążyła wejść ci już w drogę dwukrotnie. Za każdym razem chodziło o kogoś innego. Jest tu i siedzi. Wchodzisz i zawsze znajdzie się tu co najmniej dwóch twoich byłych chłopców równocześnie. I znów patrzysz, jak ten jeden stoi obok drugiego. Można umrzeć ze śmiechu. Wszystko się kisi w jednej małej beczce jak ogórki z solą. Ktoś wchodzi, widać jego nogi, a dopiero potem stopniowo wyłania się reszta. Obowiązkowo trzeba się obejrzyć, kto przyszedł. Po nogach wiadomo od razu.

Chyba Malcolm Lowry zaczarował tych ludzi. Co dzień każe im się wykańczać własnymi rękami, każe im gubić siebie, w nadziei, że zmienią przez to ten nudny świat. Malcolm Lowry stał się ich Biblią. Siedzą zapatrzeni w siebie, w tę próżnię, która wypełnia każdego, nie słyszą, kiedy do nich mówić. Obojętni na wszystko, co mogłoby się zdarzyć poza ich głuchotą. Topią się we własnej wielkości wyalienowanej ze świata, który nie ma dla nich żadnej wartości prócz tego, że mogą w nim pić od rana do wieczora, że znajdują w nim ten nie kończący się swój alkohol i dziewczyny na raz. Biorą je w pysk jak pies kość. Pomamlają, pomamlają, oskubią i tfu, byle dalej. Wypluć – i po następną. Najważniejsza jest ta następna. Wszystko jedno jaka, byle była. Chodzi o tę ciągłość mamlania. Żeby nie wyjść z sprawy.

Kubuś ma obsesję, że nie zdąży zaliczyć tych wszystkich dziewcząt z Czerwonego Grzyba. Dwoi się i troi. Oczy wyłazą mu na wierzch jak starej żabie. Ręce ma rozbiegane. Ciągłe się boi, że któraś z nich mu ucieknie. Nie umie już ukryć tego pośpiechu. Wyprany patrzy na to i aż go skręca z radości. On i tak wie, że wybierze te lepsze, które Kubuś złowi. Jak tylko będzie chciał. Jak mu się zechce. Nie musi się wcale spieszyć. Kubuś trzyma się go jak cień i nie przyjdzie mu nawet do głowy, jak cholernie głupio robi zwierając się Wypranemu. To ta obsesja, która wyłazi z niego na wszystkie strony, zamiast siedzieć cicho w środku, wyłazi i każe mu się wyżalać. Tak Wyprany ma swój własny prywatny cyrk za darmo. Żyje tym później przez wiele dni aż do następnego spektaklu. Inni też żyją z tego, co się przytrafiło Kubusiowi. Wyprany nie jest egoistą. Nie trzyma

wszystkiego dla siebie. Niech inni też się pobawią. Kawałkiem prawdziwego życia. Kiedy siedzą tu całymi dniami i wygrzewają swe mity. Wysiadują je jak kura jajko. Nie potrafią się z nimi rozstać. Pieszczą je, pielęgnują. Aż strach zbiera patrzeć na to, kiedy się pomyśli. Oni już do niczego nie sięgną. Zostanie im stołek w dymie i szklanka po wódce. Nikt nie ma ochoty niczego przeżyć. Wódka starczy za przygodę, za książkę, często i za dziewczynę. Starczy za cały wielki świat, który umyka rok po roku w niepowroty.

Siedzą nad kawą i kłamią. Na każdym kroku możesz natknąć się na kłamstwo. Z ciepłym uśmiechem mówią ci w oczy deklaracje bez najmniejszego pokrycia. W najczulszej formie wymierzają policzki, aby nie było punktu zaczepienia o cokolwiek. Obiecują, wiedząc z góry, że nie wykonają niczego z tego, co przyrzekli. Bo tak najwygodniej.

Zgrywają się od rana do wieczora. Na obrońców cnoty, zwolenników porządku, na kryształowych i szlachetnych. Na tych dobrych. Rodzą się w nich te słowa-slogany. Wysypują jak z worka na każdą okazję.

Stefan bez przerwy litował się nad światem. Nad hinduskim żebrakiem czy obdartusem z Nepalu. Wygodny ból. Szukał tak daleko, żeby nie widzieć blisko. Żeby nie musieć patrzeć na tych, co są pod ręką. Mnie nie mógł nigdy dostrzec. Kiedy zagryzałam się w kłopotach o każde dziś, o każde jutro. O ten obiad, śniadanie, kolację, żeby było co postawić na stole. O łachy, które się targały. O naszą miłość, która wiedła w tym wszystkim, zatracala się po kawałku, podziewała gdzieś i nie można było temu zapobiec. Zobojętnienie narastało między nami, ukazywało twarz spoza każdej rzeczy, którą robiliśmy wspólnie, w rozmowach i spacerach do kina, na wypadach w góry. Coraz mniej byliśmy sobie potrzebni. Coraz mniej mieliśmy sobie do powiedzenia. W końcu zostały tylko oklepane frazesy i mity o pieniądzach, które kiedyś spadną na nas z nieba. Obcość stała się już tak wyraźna, że nie mogliśmy siebie znieść. Złość pogłębiała się. Mur przyrastał. Tyle zyskaliśmy na sloganach o litości. Nie pojechaliśmy przecież bronić własnymi rękami Wietnamu. Nie uczyniliśmy nic dla nepalskiego chłopca. Tylko zaprzepaściliśmy w sobie wszystko, co mieliśmy, to najcenniejsze w nas. Nie mogliśmy się już odnaleźć. Niczego w sobie byliśmy pewni. Niczego między nami. I któregoś dnia, kiedy było już o dużo za dużo, skończyło się. Nasze mieszkanie, nasz dzień, nasza noc. Nasze marzenia i plany. Nasz wspólny wielki świat, który chcieliśmy wchłonąć w siebie. Przekreślone raz na zawsze. I potem nie było już ważne, co stanie się z każdym z nas. Nie o to chodzi. Ważne jest, żeśmy do tego doszli. Sami doszliśmy do miejsca przekreślenia. I tak Stefan został ze swoimi sloganami o litości, z kupą niepotrzebnego gadania, w którym utopił własne życie, a ja – w czterech ścianach i meblach, których nie mogę znieść. Skwitowaliśmy się do zera. Bo żadne z nas nie bało się naprawdę. A trzeba było. Każdego dnia i każdej nocy bać się. O całość tego, co było między nami. Chuchać i dmuchać, okrywać przed zimnem, żeby się nie rozleciało. O tym nie myśleliśmy. Tak nam jakoś schodził dzień za dniem. Nie było nigdy czasu, żeby pomyśleć. I znaleźć sposób na uratowanie. Opłaciłoby się. Tym całym wielkim światem i pragnieniami, które stałyby się prawdą. Ale przekreśliliśmy się sami.

Jak teraz zaczynać od nowa? Bez tej wiary w cokolwiek. Bez nadziei, że się uda. Nie dojść tym razem do miejsca przekreślenia. Skąd czerpać tę pewność? Skoro się raz nie potrafiło uniknąć najgorszego, dlaczego miałoby się udać następnym razem? Wiadomo tylko, że nic nas nie ominie z tego złego. Zostanie nam dane, żebyśmy sobie nie wyrzucali, żeśmy czegoś nie doświadczyli. Zawsze ich proszę, tak ładnie, jak umiem, dziewczynki i chłopcy, mówię, nie budźcie we mnie tego chama, po co wam to. Nie lepiej spokojnie, miło i po przyjaźni, z każdym się przecież da. Bo kiedy nie – to co później? Jak się już ponazywamy dokładnie od góry do dołu? Głupio będzie. Coś się skończy. To coś, co było ładne między tobą a mną. Koniec. I znów wołanie w ciemny las, w głąszę. Nikt nie rozumie. Nie chce im się pomyśleć. Nie żal im niczego. Zawsze musimy dojść do tego słowa, które przekreśli. Sprowokują to słowo. Jakby życie było niepełne bez niego.

Nie można nikomu wytłumaczyć. Nie nauczyli się elementarza, a chcą rządzić. Meblować świat na jakoś to będzie. Liczą na przypadki, zbiegi

okoliczności, na wczepkuurodzenie, na szczęśliwą gwiazdę. Nie chce im się pomyśleć, co wtedy, gdy przypadek nie zechce być po ich stronie. Kiedy życie spląta ohydny kawał i zostanie tylko ten mur do stłuczenia głową. Wówczas żyletki, szyby, tabletki i kurki do odkręcania. Jakby to było jakiegokolwiek wyjście i rozplątanie. TAM już nie będzie żadnego świata, który można by ulepszyć. TAM nie będzie już nic do zobaczenia. Ani do zyskania. Wyjście – z trzeciego piętra przez okno.

Więc chodzić dzień za dniem Pod Czerwonego Grzyba. Tkwić wśród nich. Patrzeć na ten ich organiczny wstręt do przeżycia czegoś naprawdę. Jak wysiadują te swoje mity. Jak topią je w wódce. I już nie umieć znaleźć sobie innego miejsca niż ta skisła kałuża nudy. Irracjonalne przeświadczenie o konieczności czekania na coś, co przyjść musi, tylko nie wiadomo kiedy. Bez tego czekania wszystko wydaje się pozbawione sensu. Wydaje się, że coś by nas ominęło. W domu nic do nas nie przyjdzie. Tylko tu, Pod Czerwonym Grzybem, może się stać coś niezwykłego. Właśnie wtedy, gdy nas akurat nie ma. Złudzenie, którego nie potrafimy się wyzbyć, każe nam trawić godziny nad wystygłą kawą. W ustnym dymie, do utraty tchu. Nie umiemy rezygnować ze złudzeń.

Przerazające jest to miasto bez wyrazu, ulice, gdzie snują się ludzie o wypełnionych, nic nie mówiących twarzach. Tramwaj, w którym ciągle widzę jakichś ślepców. Tłum manekinów. Chciałoby się odszukać kogoś, do kogo można by powiedzieć dwa słowa w języku zrozumiałych pojęć. Jest tylko wiosna, wciska się wszędzie. W każdy zaułek, do najbardziej piwnicznych bram, i niczego nie ułatwia swoją obecnością. Ani nie ułatwia. Nie zetrze tej obcości, która wymalowana jest na każdym, kto przechodzi. Nawet nie ma po co otwierać ust. Nie trafię tu na nikogo, kiedy nie ma Kima.

Od tygodnia nie mogę go nigdzie znaleźć. Nie wiem, gdzie się zawieruszył. Może złapała go jakaś dziewczyna. Dał się gdzieś zawlec jak małe dziecko. Straszne jest miasto bez Kima. Boję się, że już nie odnajdę jego twarzy, która obiecywała tysiące możliwości zmiany. Była górami i chmurami. Padającym śniegiem i zieloną wiosną, gdzie kwiaty kwitły tylko dla mnie. Twarz, przez którą przeświecała rozprysnięta w słońcu rzeka, szeroko rozlane wody jeziora. Wszędzie tam byliśmy razem, kiedy tylko spjrzałam na niego.

A może to było tak. Wymyśliłeś sobie jakiś świat, Kim. Taki, w którym mógłbyś się zmieścić, który by ci pasował w sam raz. I potem nagle spostrzegłeś któregoś dnia, że on jest zbyt mały dla ciebie, że go sobą przerastasz. A może to właśnie on przerósł ciebie, co najmniej o dwie głowy, i nie mogliście się do siebie dopasować, a ty nie umiałeś znaleźć sposobu na ujarznienie go. Coś cię porwało i niosło, i nie umiałeś się zatrzymać. Wyrwało ci ster z ręki i dalej już nic nie zależało od ciebie. Działo się obok. Siedziałeś jak w kinie i patrzyłeś na przesuwane się obrazki z życia, które było przecież twoim życiem. Twoim własnym życiem, którym nie mogłeś już pokierować. I później było ci obojętne, co robisz dziś czy jutro. Nie miało znaczenia. Skoro pozwoliłeś odebrać sobie ster. Mogłeś tylko żyć marzeniami. Albo przywoływać w pamięci dni, kiedy te marzenia mogły się jeszcze stać konkretem. Gdybyś wówczas chciał. Ale spieszyło ci się. Spieszyło ci się gdzieś cholernie. I nie myślałeś potem więcej, jak to będzie, dobrze czy źle, byle mijało szybko. Wtedy znalazłeś mnie. Byłam ci potrzebna, żebyś mógł się na moment zatrzymać, obejrzeć poza siebie. Bo już cię zmęczyło to szybkie mijanie bez celu. Więc byłam tym twoim momentem zatrzymania się. Chwilą zastanowienia, czy to właśnie tak. Chwilą odpoczynku. Byłeś już bardzo zgoniony, Kim. Może ja właśnie najlepiej uprzytomniłam ci to, co dotąd działo się w twoim świecie. Dlatego tak często mówiłeś o końcu. Bo przeze mnie dostrzegłeś ten cały Wielki Nonsens nie do uporządkowania. I chciałeś odejść. Zostawić raz wreszcie wszystko. Mieć spokój. Żeby nie musieć potem jeszcze więcej sobie wyrzucać. Stanałeś na moment przy mnie, żeby pomyśleć. To były na pewno twoje lepsze dni, Kim. Ale znów pozwoliłeś ponieść się dalej.

A może było jeszcze coś więcej. Pamiętasz. Czasem porywał cię zapał. Goniąc po pokoju, wygłaszałeś takie czy inne przyczynki do swego dzieła. Wodziłam oczami za tobą biegającym od ściany do ściany, przeżywającym scena po scenie to, co kiedyś miało się stać skończonym obrazem twoich wizji. Byłam jedynym i najwdzięczniejszym słuchaczem.

Najwdzięczniejszym, bo bezkrytycznym. Zachwycił mnie każdy twój gest, każde słowo wydawało mi się genialne. Ile razy było mi źle, przypominałeś mi się taki właśnie, przywoływałam to twoje bieganie między ścianami mojego pokoju. Ciasno ci było. Chciałeś wówczas czegoś za każdą cenę. Chciałeś się wyrwać.

Jak niewiele wystarczyło, żebyś znów za moment miał dość. Zasywałeś się w kąt zaplutej knajpy i już nie zależało ci na niczym.

Jeszcze cię będę szukała, wiem. Kiedy przyjdzie taki zły dzień, że człowiek nie znajdzie dla siebie miejsca już nigdzie. Kiedy ściany tłoczą i zabijają, a na ulicach tylko te twarze puste, bez wyrazu, będę cię szukała. Bo nie widzę niczego poza tobą, co mogłoby być punktem stałym. Będę cię szukała, żeby móc mówić. Czasem tak bardzo musi się mówić. Do kogoś takiego jak ty, Kim. Żeby słowa nie były uderzeniem patyka o bruk.

Wszystko ulega zapomnieniu. Uczucia, miejsca, fakty. Co by było z nami, gdybyśmy wciąż pamiętali z jednakową siłą. Nie można by wówczas ruszyć z miejsca. A tak – jest ta wędrówka w przód. Nikomu do niczego niepotrzebna. Taki postęp z konieczności. Pewnego dnia możemy sobie zdać sprawę, że kiedyś kochaliśmy, cholernie dawno. Może tydzień temu, może rok. Ale to już czas przeszły, więc obojętnie, kiedy było.

Nieraz mówią o kimś: to mu przejdzie. To ci przejdzie za jakiś czas, mówią. Ale nie w tym rzecz, żeby przechodziło, bo to najłatwiej i najgłupiej. Tylko żeby wygrać. Dokończyć rozpoczęte. Bez względu na wszystko, co przeszkadza. Sens istnieje właśnie w tym uporze działania.

A potem się już wie, że trzeba rezygnować, świadomie uszczuplić się o to, czego się pragnęło najbardziej, bo zbraknie nam czasu i tej właśnie szansy, w którą się wierzy, kiedy się stoi u progu, kiedy się wszystko dopiero zaczyna. Więc gdy się już wie o tej rezygnacji, która jest naturalną konsekwencją lat, przychodzi to największe zło, o czym się nawet pomyśleć nie chciało. Przychodzi kres, który nie jest bynajmniej śmiercią naturalną, ale jest śmiercią faktyczną, umieraniem wszystkiego, co tworzyło nas tam w środku, składało się na naszą osobowość, wyróżniało spośród innych. To, co nie pozwalało utopić się w stadzie. Kazało nosić głowę wysoko ponad resztą. Mocno zakorzenione prawa, nawyki, pragnienia, które tworzą każdego z nas w sposób odrębny, i one właśnie są treścią, istotą, tym własnym ja, którego nikt nie chce oddać za żadną cenę aż do ostatka, do tego ostatniego, najostatniejszego zmęczenia. Jest to więc śmierć faktyczna. Potem nie liczy się już. Ani dla nas samych, ani dla innych. Nic już nie potrafimy.

Jest Pod Czerwonym Grzybem stolik, gdzie przesiaduje Elita. Elita to ci, co się doczekali. Złapali już coś dla siebie. Teraz przychodzą tu pokazywać własną zdobycz, żeby nam, innym, było żal. Przynoszą ją i układają obok siebie. Starannie, żeby wszyscy widzieli. Jest w tym coś niewypowiedzianie smutnego. Od Elity wieje grobem. Wiadomo, że już znaleźli, ustatkowali się, mają. Zadowolenie z siebie widnieje na ich twarzach i ta, na każdym kroku podkreślana, odrębność od reszty. To właśnie najbardziej śmieszny. Bo oni tak samo przychodzili tu przez lata i czekali na swój los. Teraz usiłują nam wmówić, że są lepsi. Nie wiem, czy wielu z nas postawiłoby się chętnie na ich miejscu. To nie kwestia pieniędzy, bo każdy je ma od czasu do czasu i nie o nie chodzi. Chodzi o świadomość, że się już dobiegło do własnej mety, że się już nic więcej nie musi, niczego nie oczekuje, nie pragnie. Nie szuka gorączkowo. Skończył się niepokój o każdy dzień. Elita nie pije wódki, bo już nie musi. Nie jest im potrzebna wódka w ich niczym nie zamuśnionym szczęściu. Szczęściu, które przeraża. Dreszcze biorą jak po aspirynie, kiedy się na nich patrzy. Bo z czego właściwie tak totalnie się cieszyć?

Boję się, że któregoś dnia mogłabym ujrzeć wśród Elity Magdalenę. Mogłaby się tam znaleźć, bo jest za ładna. I jeszcze dlatego, że mogłoby jej się to wszystko znudzić któregoś dnia. Gdyby się poczuła bardzo zmęczona i chciała odpocząć. Kupić sobie złudzenie. Lepiej byłoby, żebym jej nigdy więcej nie zobaczyła. Boję się o nią, bo jest stanowczo za dobra na to, co się tu dzieje, a równocześnie nie znajduje żadnego sposobu, żeby się stąd uwolnić na dobre. Podlega tym samym prawom co my.

Niech więc sobie Elita smakuje swoje szczęście. Niech myślą, że gorzko nam z zazdrości. Niedługo przekonają się, ile warte, co z taką dumą przynoszą w zębach. Za mała ta kość! Gdyby tak była większa – to może. Może by naprawdę zdołali nas zadziwić i doprowadzić do złości. O to im chodzi najbardziej. Ale na razie – jeszcze długo nic z tego!

Kima jak nie ma – tak nie ma. Witek mówi, że pewno go wreszcie złapali i zaciągnęli na „odwyk”. Nie wierzę, żeby dał się złapać. Jest na to za cwany. A zresztą – po co?

Wystarczy spojrzeć na Jasia. Leczyli go prawie rok. I po tych ośmiu miesiącach zaczął ze zdwojoną siłą. Esperal mu się rozpuścił i już nie musi się bać. Kiedyś do antabusu tak się przyzwyczyił, że bez niego wódka przestała mu smakować, więc zaszyli mu esperal. Teraz pije już nawet denaturat. Ani się nie skrzywi. Ma swój mały intymny świat za piętnaście złotych litr. Reszta mu już niepotrzebna. Samochody, książki, dziewczyny. Po co?

Teraz Jaś pęta się po świecie dokładnie wyleczony. Ze wszystkiego z wyjątkiem wódki. Jego pechem było to, że za długo myślał. O wielu rzeczach. Przychodzi Pod Czerwonego Grzyba i śmieje się. Urządza kpiny z towarzystwa. Przy tym jest bardzo grzeczny. Nigdy nie używa wyrazów. Można go pokazać w gablocie jako okaz kulturalnego zachowania. Zawsze schludny, odprasowany, czyściutki. Żeby tak innych było stać na to, na co stać Jasia. Tych zwyczajnych bywalców, amatorów kawy.

Niektórzy przychodzą tu dla zabawy. Żeby mieć ubaw z tego, co się dzieje. Z tych licznych tragedii, niewypałów, zawiedzionych nadziei, bóleści i zgrzytów. To ci, którym się już wszystkiego odechciało i teraz obnoszą na pokaz swoją siłę. I dobry humor, także naciągany. Do nich należy Maja. Mówiłam kiedyś o Mai. Przy okazji Wypranego. Maja – to bratnia dusza. Taki Wyprany w spódnicy. Sama już dawno zrezygnowała, a przecie nie ma jeszcze dwudziestki. Po cichu jednak marzy, by wejść do Elity. Zasiadać z nimi przy jednym stoliku. Ale nie będzie na to widoków – jest za brzydka. Nie grozi jej więc to, co mogłoby grozić Magdalenie. Maja wie o tym i jest wściekła. Wie o tym, bo jest inteligentna. Złość wyłazi z niej wszystkimi szparami. Aż zgrzyta z tej złości. Siedzi przy stoliku sztywna jak patyk i pilnuje. Patrzy, komu by zepsuć. Nikt się jej nie wymknie. Nikomu nie popuści. Niech innym też źle będzie. Nie tylko jej.

Wszystkich tu przychodzących dzieli na klasy Podział jest bardzo ścisły. Każdy ma u niej swój numer porządkowy i miejsce przy stoliku. Odpowiednie do tego, co reprezentuje. Którą klasę i stopień inteligencji. Cholernie nie lubi, kiedy ktoś zmienia jej podział. I stwarza pomieszanie pojęć. Z góry przyjętych norm, z których nie wolno się wyłamywać. Najchętniej zagoniłaby wszystkich do kurnika. Ponumerowała klatki. I dopiero miałaby radość, jakby ich mogła oglądać spoza siatki. Jak małpy. I podziubać wyostrzonym kijem. Zyg, zyg, zyg... Powiedziała mi kiedyś, że zawsze wyobrażała sobie Pana Boga siedzącego na tronie i oglądającego z góry dowcipy, które dzieją się na ziemi. Czasem wydaje się, że go zastępuje.

Lolek znów siedzi za ikony. Józek też. Oni tak sobie udziwniają ten pobyt tu. Któregoś dnia wychodzą z Pod Czerwonego Grzyba i już nie wracają. Nie ma ich przez ładnych parę miesięcy. Potem któregoś dnia są znowu. Przychodzą zwyczajnie, jakby tu byli dopiero co, tyle że wyskoczyli za róg na wódkę. Są znowu, aż do następnego razu. To u nich taki period. Jedyne urozmaicenie pobytu w tym mieście. Przy okazji mają przymusową „odwykówkę”. Inaczej zapiliby się na śmierć. Te ikony to dla nich swoista kłapa bezpieczeństwa. Przedłużanie żywota. – Widzisz ten dzień, mówi do mnie Lolek, widzisz. I co z nim robisz? Trzeba wypić, bo nie ma na niego rady. – Tak im schodzą te dnie. Wszystkie podobne i wszystkie pijane. To oni kilka lat temu odkryli polskie Klondike. Od tego się zaczęło. Wyludniony kraj. Same góry, lasy i połoniny. Królestwo wilków, zdziczałych koni, niczyjego bydła. Forsa leżała – tylko się po nią schylić. Stare cerkiewki ukrywały cuda. Więc brali te skarby pełnymi garściami, żeby ich inni nie ubiegli. Szybko poznali miejsca, gdzie leżała fortuna. Za chwilę i tak wszystko zgnije. Trzeba się spieszyć, żeby jeszcze coś z tego mieć. Na razie było pod dostatkiem. Było za co wypić, na dziewczyny też było. Łapało się te konie, co biegaly luzem, i można było pędzić po połoninach całymi godzinami. Miejsca tam dość. Urzekło ich to życie w scenerii westernu. Ale polski Texas i polskie Klondike skończyły się dość prędko. Wracali tubylcy, napływali nowi osadnicy. Nie było już ani gdzie, ani po co. Opuszczone wsie napełniły się ludźmi. Pierwotna dzicz kończyła się. Zaczynała się inna, o wiele gorsza. Przyszły męty, bandziory, nożownicy. Narodziła się jedyna w swoim rodzaju zabawa. Krojenie żyłką po twarzach. Na sito. Uciekali później obaj w obłądnym strachu, żeby ich nie dosięgła. Ale to, co tam widzieli i przeżyli, utkwilo w nich. Siedzi teraz jak zadra. Nie umieją już przystosować się do miasta. Ani cokolwiek sensownego robić. Wciąż im się śni to królowanie na swobodzie. Pod powiekami ciągle noszą western. I tamten kraj. Taki jak na początku, kiedy przyszli. Ale skarbów już coraz mniej. Już ich prawie nie ma. Wykradzione lub zamknięte po muzeach. Wracają, próbują na nowo. To u nich jak choroba. Wciąż im się zdaje, że jeszcze gdzieś tam coś się wala zapomnianego. W końcu góry stoją, jak stały. Połoniny też. Tyle że w sezonie pełno na nich zbieraczy jagód. Więc to już nie te góry, co były. Ale oni znają tu każdy kąt. Udaje im się znaleźć jeszcze trochę. Resztki, okruchy w sobie wiadomych miejscach. Tylko wszędzie już patrzą im na ręce. Wiele oczu patrzy na nich. To już nie ten kraj, co był. Pusty. Bez ludzi. A Lolek i Józek kochają wypić. A jak piją – plotą trzy po trzy. Kiedy po paru dniach wstaną od tej wódki, jest już za późno. Taka to właśnie z nimi sprawa. I cholerna szkoda. Oni przynajmniej, w odróżnieniu od całej reszty spod Czerwonego Grzyba, potrafią jeszcze zdobyć się na zryw. Na wyjście z tego dymu, z codzienności, która wisi w powietrzu jak pleśniejący worek.

Gdyby to można było przenosić się z miejsca na miejsce. A nie ten słodki, dobijający bezruch. Wszystko wydaje się nieprawdziwe i takie na niby. Pewnie dopiero z daleka dałoby się ocenić, rozwartościować. Na dobre, na złe. Na nudne czy pasjonujące. Ale tu? Ci, którzy dużo jeździli, powiadają, że najlepiej można zobaczyć własny kąt ze środka

podzwrotnikowego buszu. Przez te roje komarów, węże i skorpiony. Marzysz, żeby tak znaleźć się przez moment na własnym szerokim tapczanie, otworzyć radio, posłuchać muzyki i spokojnie wypić herbatę, wiedząc, że żadne „złe” nie czai się w szparach podłogi. Gdyby to można było. Przenosić się z lodowatej Grenlandii na upalną pustynię, z wysokich gór nad tropikalne morza. Pewnie by człowiek lepiej wiedział, po co mu ten świat.

A tu, Pod Czerwonym Grzybem, nic nie wiadomo. Wie się tylko, że Lola chodzi z A. i że Basia dopiero co zabrała Kici Zbysia, mimo że się w niej kocha J. Albo że ten S. to jest cholerny dziwkarz, bo go co chwilę widać z inną i jak on je zdąży obsłużyć. Wszyscy się nad tym głowią. Co takiego siedzi w tym S., kim on właściwie jest, że mu się tak wciąż udaje. Zmyślać i robić na balona. O niczym innym się nie mówi. Nie widać nic spoza dymu. Tylko stoliki, krzesła, filiżanki po kawie i wciąż te same głowy pochylone nad nimi. Nie widać nic spoza czerwonego słupa. Tylko panią, co parzy kawę, jeszcze widać, wiecznie z tą samą obojętną twarzą. I te nogi schodzące po schodach. Jakby się to wszystko śniło. Bardzo męczący sen. Męczymy się wszyscy. Rano i wieczorem. Bo tak widocznie trzeba. Należy do programu. Nawet przewietrzyć nie bardzo się da, bo zaraz krzyczą, że zimno, jak trochę tego dymu wyjdzie, i zamykają lufcik. Nie jest pożądane odświeżanie aury. Mogłoby się przypomnieć. Że tam za oknem, dalej, coś czeka. Niepokój wkradłby się. Bezład zostałby zakłócony. A tak – wszystko ustalone. Nawija się na kołowrotek. Dzień za dniem nawija się według schematu. I dobrze. Nie trzeba wydłużać pamięci. Obawiać, że się nie zdąży na coś większego gdzieś tam. Można znowu pośmiać się z głupiutkiej Zosi, którą zostawił Krzys i która teraz co dzień naiwnie czeka, że on może wróci. Ile radości, że to jej, a nie akurat nam się przytrafiło. Jak podnosi na duchu! Czujemy się tacy mądrzy, przebiegli. Dzielniejsi, bardziej sprytni niż Zosia. Ktoś tu jest przecież od nas gorszy. Urosiliśmy w górę. Jak ten dąb. Mocni jesteśmy. To tak na pięć minut. Trzeba się pocieszać. Koniecznie.

U ciebie, Kim, dochodziło to już do granicy absurdu. Ciągle musiałeś czuć się lepszy niż ci inni naokoło, których widziałeś co dzień. Ciągle musiałeś być podziwiany, od rana do wieczora, przez jakieś dziewczyny. Nie mogłeś się bez tego obejść. Było ci to konieczne do życia jak koniowi trawa. Jaki byłeś zabawny. Kompletny kabotyn. Ileż to razy miałam ochotę roześmiać ci się w oczy. Pajac! Ale nie – nigdy tego nie zrobiłam. Bo ja cię przecież kochałam. Podobno. Więc jakże to takiemu komuś, kogo się kocha, rzucać w twarz śmiechem? Robiłeś więc tak przy mnie dalej. Z tymi dziewczynami. Zupełnie bezkarnie zabawiałeś się na moich oczach w te hołdy. A one biegły do ciebie, jedna przed drugą, licytowały się nawzajem w dawaniu ci satysfakcji, w poniżaniu siebie. Bo im się wydawało. W tej ich bezmiernej głupocie i naiwności wydawało im się, każdej z osobna, że przy niej zostaniesz już na wieki. Bo nie wiedziały jednego. Że ty z nikim nie będziesz, Kim. Z żadną. Zawsze będziesz się tak plątał po ulicach w deszczu. Taki się już urodziłeś. Nie przystosowany do świata. Ani do żadnych konieczności. Nie chcesz sobie niczego brać na głowę. Żadnych dodatków do własnych kłopotów. Dlatego patrzę na ten cyrk. Z całym spokojem. Bo nic mnie już ostatnio nie dziwi. Tylko śmiać mi się chce

coraz bardziej. Śmiech zagłusza we mnie wszystko inne. Powoli cała stanę się jednym wielkim śmiechem.

Chodzi o ludzi. O tych, do których kiedyś podchodziło się z podziwem, bo ich wielkość onieśmiała. Później nie są warci ani splunięcia. Tak dzieje się przeważnie po czasie, normalną rzeczą koleją, i jest bardzo smutne. Wiem, że kiedyś przyjdzie mi opluć Kima, opluć całą pamięć o nim, że nie zostanie już z tego ani kęs dobrego, choć jeszcze teraz wydaje się nie do pomyślenia taki koniec. Ale to się powtarza wszystko jak w głupim żarcie. Zawsze jedno goni drugie, następnie zastępuje poprzednie i sprowadza je do zera. Do wielkiego śmiechu.

Tak skończył się we mnie Stefan. Cały podziw dla niego tracił się powoli, przepadał, rozpływał nie wiadomo gdzie, aż w końcu, któregoś dnia, nic nie zostało już we mnie poza tym śmiechem. Co dzieje się z ludźmi po czasie? Że nie zostaje im nic prócz pogardy.

Nitka pęka, rwie się z każdą chwilą, mógłbyś ją jeszcze zawiązać na nowo, ale nie zależy ci na tym, wiem. Nigdy ci nie zależało naprawdę, wiedziałam to od razu, pierwszego dnia, kiedy poznaliśmy się, dlatego nie było tak, jak chciałeś. Później machnęłam na to ręką, spróbuję, myślałam, może uda się coś stworzyć razem, ale ty grałeś tylko, grałeś, żeby mnie dostać na ten raz czy parę razy. Na to, co najmniej ważne dla mnie teraz. Kiedyś było najważniejsze, ale powoli traciło znaczenie. Teraz nie pamiętam nawet tego, czy ze mną spałeś. Ważne było tylko przystawianie osobowości i trochę ciepła nie wymuszonego, nie wytargowanego ani nie kupowanego. O to mi chodziło. Ale to jest potrzebne tylko mnie. Nie tobie. Przestanę więc wymyślać te cuda, których nie ma. Nie można wciąż bez przerwy w ciemno. Okropnie męczący tak w ciemno, z baranią nadzieją, że może kiedyś, jutro, pojutrze. Nonsens. Nie jestem Stefanem. Nie mam jego tępego uporów. Ani jego zakłamania. Dobrze powiedział kiedyś Witek: nie można strzelać człowiekowi nad uchem z armaty, bo on się straszy i ucieka. Za pierwszym razem to właśnie wystrzeliłeś mi nad uchem. Dlatego uciekałam. Wszystko tam było od razu. Sanki i Zakopane. I pokój we dwoje, i scena zazdrości o Stefana, który ważył tyle co zeszłoroczna zima. I chęć wyrzucenia Witka przez okno. I ja – ta najmądrzejsza i najciekawsza. Wszystko było. Ile z tego zostało dziś? Co zostało? Trzeba było mniej gwałtownie. Może byłoby już wtedy. Zresztą to na nic nie wpłynęło, że akurat nie wtedy. Teraz masz za to dziewczynę. Dziewczynę nową. Istniała już w tobie tego dnia, kiedy mnie poznałeś, zawsze potencjalnie istniała w tobie. Nie da się robić stu rzeczy naraz. I szkoda. Tak się to ładnie zaczęło później. Po tych dwu miesiącach, kiedy spotkaliśmy się po raz drugi. Było już takie, jak trzeba. Dopóki... dopóki czegoś nie pożałowałeś. Skapstwo. Zwyczajnie chwyciło cię skapstwo. Strach, że czegoś jest za wiele. Że coś na tym stracisz. Nic byś nie stracił, miałeś tylko do zyskania. Ja także. Nasze szanse były równe w tej grze w domino. Wolałeś jednak ją przerwać, zamiast dagrać do końca. Nie dokończone sprawy boją. Ale chciałeś przerwać. Nie będę więc ciebie przełamywać na siłę. To mi do niczego niepotrzebne.

A przecież uwalniałam się już od ciebie, Kim. Od twojej hysterii, ciągłych frustracji i złości. Od twojej obojętności. Tak ładnie się uwalniałam, pamiętasz? Wtedy u Piotra. Fatalny byłeś tego wieczora. Zupełny brak stylu. Te wszystkie śmieci wyłaziły z ciebie, godne politowania historie, jedna po drugiej. Okazałeś się nagle pełnym pajacem. Błaznem, który czepia się resztek godności. Śmiesznie zazdrosnym o swój rozgłos i później jeszcze zazdrosnym o mnie. Bo wtedy Bogdan. Był taki czuły, nalewał mi co chwilę i głaskał po włosach. Świetny był. Opiekował się mną o wiele lepiej niż ty kiedykolwiek. Ty za to okropnie się bałeś. O siebie w stosunku do nich, bo kto inny był postacią centralną i grał pierwsze skrzypce w tym pokoju. O siebie w moich oczach też. Skończyło się we mnie tego dnia i o tym dobrze wiedziałeś. A później, kiedy już osiągnęłam ten błogosławiony spokój, kiedy wreszcie poczułam się wolna od twoich nieustających kaprysów, musiałeś akurat zachorować. To była poważna choroba. Nie mogłam cię tak zostawić. I zaczęło się od

nowa. A raczej z powrotem. Teraz już się nie uwolnię. Za dużo się zdarzyło podczas tej choroby. Za dużo mi powiedziałeś. Okazało się, że jestem ci jednak potrzebna. Nie tylko dlatego, że wówczas u Piotra nie chciałeś mnie oddać Bogdanowi. Tylko tak w ogóle. W ogóle jestem ci potrzebna. Sam się zdziwiłeś, prawda? Ja też. Byłeś chory, więc potrzebowałeś kogoś, kto by cię pocieszył, a ja byłam najbardziej pod ręką. Później, gdy zacząłeś już wychodzić z domu, znalazła się dziewczyna. Od razu jak tylko zacząłeś chodzić z powrotem między ludzi. I od razu była lepsza ode mnie. Miała lepsze nogi, lepsze włosy, cała była jedyna i niepowtarzalna. Więc mogłeś sobie śmiało pozwolić, żeby mnie zostawić. Nie byłam ci już potrzebna. Zaczęła się u ciebie ta nowa dziewczyna i trwa. Pewnie do dziś. A może to już inna. Może były nawet dwie. Trzy – od tej pory. Co mnie to obchodzi. Nie jesteś już ze mną. A z kim jesteś – obojętne. Nie jesteś już ze mną, a ja cię potrzebuję. Bardzo cię potrzebuję. Tak wygląda prawda. Na nic się zdały usiłowania, by zatrzymać czas. Tylko że dla ciebie to oczywiście nic nie znaczy. Jak ty mnie potrzebowałeś, znalazłam się natychmiast obok. Mimo że miałam serdecznie dość twoich pomysłów. A teraz może także jestem chora. Gorzej niż ty wówczas. Wydaje mi się, że nawet grubo gorzej, bo tego nie da się już wyleczyć. Na to nie ma szpitala ani doktorów. Trzeba by się przenieść na inną ziemię. Czarny przedmiot na biurku milczy uporczywie. Nie zadzwonisz już więcej, bo po co. Nie jestem ci już potrzebna. Ja też nie będę dzwoniła. Nie pozwolę sobie na luksus podniesienia słuchawki, nie wykręcę twojego numeru. Tak będzie prościej. Nie będzie trzeba się okłamywać. Mimo że nauczono mnie już, że oszustwo góruje nad prawdą. A prawda czyni tyle zła, że to oszustwo staje się błogosławieństwem między dwojgiem ludzi. Ale ja nie lubię. Zostaniemy więc przy starych konwencjach. Nie będziemy siebie oszukiwali. Nie będziemy już więcej udawać, Kim. Za długo to trwało, słyszysz. Nie będziemy już więcej udawać, bo ja tego nie chcę.

Witek mówi: nie myśl tak ciągle o tym, kiedy znajduje mnie na podłodze koło telefonu. Mówi: spuść na to wodę, miej trochę cierpliwości, samo się wyjaśni w końcu. No, chodź, mówi, pójdziemy w miasto, zrobimy sobie Hawaj u Francuza. Wyciąga mnie. Może go znajdziemy, mówi, nieraz go tam widziałem. U Francuza sami fryzjerzy, dorobkiewiczze i normalne dno. Pije się wódkę, aż wszystko kręci się przed oczami. Znajome dziewczyny, znajomy doktor. Dyrektor, mecenas. Cały dzień ciężko pracują, żeby znaleźć się tu na wieczór. Znajomy redaktorek miejscowej gazety z miną reportera co najmniej „Life’u”. Kręcą się jak na karuzeli. Aż śmiesznie, że wciąż tak samo. Nic się nie zmienia od lat. Co wieczór możesz tu przyjść i oglądać ich wszystkich. Aż oczy bołą. Możesz się głośno śmiać, możesz płakać, opowiadać bógwieco, nikogo tu nic nie zdziwi. Przyzwyczajeni są do takich widoków. Normalnie, jak przy picu.

Witek to lubi. Kiedy mu się tak świeci wokoło i gra. Lubi, jak dzwonią kieliszki, jak się do nich nalewa wódka. Lubi, kiedy pan Józio, barman, poufale trąca go w ramię i dzieli się z nim wrażeniami. Gdyby nie Francuz, Witek byłby skończony. Nie zniósłby życia w tym mieście. Każdego wieczoru musi tu wpaść choć na chwilę. Pogadać z panem Józkiem. Lubi, że traktują go tu jak bywalca, jak swojego. Witek ma kompleks knajpy. Zanim się znalazł Pod Czerwonym Grzybem, pracował jako muzyk w nocnym lokalu. W dzień był studentem, a nocami grał i pił wódkę. Elegancki lokal, gdzie goście nie liczyli się z forszą. Płacili i po dwieście, żeby tylko grał dla nich ten czy inny kawałek. Witek miał ledwo osiemnaście lat i był z niego król życia. Dziś ma dwadzieścia kilka, ale to mu zostało, że co wieczór musi do knajpy. Chociaż miasto już nie to i knajpa inna. Przygląda się muzykom, krytykuje, chwali, gdy dobrze zagrają. Czuje się jak u siebie. Tu ma swój „Hawaj”. Patrząc na niego, jak się kręci podekscytowany, i przychodzi mi na myśl, że tak cholernie chętnie posłałabym go na prawdziwe, autentyczne Hawaje. Żeby mu się skala wartości rozszerzyła.

Kim też tu wpada. Kiedy mu się znudzi bieganie po ulicy, zagląda na parę wódek. Ale teraz go nie ma. Nie widzieli go już dawno. Mówią, że poszedł na „odwykówkę”. Podobno to jednak prawda. Nie wiem, komu wydaje się, że Kim przestanie pić. Wstąpi na nową, świetlaną drogę życia. Ten kawał nie uda się na pewno. Nie z Kimem taki numer. Za bardzo jest sobą w tym picu. I wie, czego chce. Jak tylko wytrzeźwieje, robi się beznadziejnie głupi, papierowy. O niczym nie da się z nim wtedy pogadać. Do niczego się nie nadaje, tylko do tego, żeby mu dać święty spokój. Cała inteligencja i mądrość ucieka z niego wraz z wódką. Nie ma już nic do powiedzenia. Na trzeźwo nie będzie atrakcją nawet dla starej babuni. Dlatego nie wierzę w te wszystkie bajki o „odwyku”. Z pewnością złapała go jakaś dziewczyna i zamknęła na klucz albo wywiozła z miasta. To do niego podobne o wiele bardziej. Niechże mnie przestaną nudzić opowiadaniem, bo ja wiem, co mam wiedzieć. A co się tyczy Kima, wiem lepiej niż inni.

Najlepiej zrobił Jacek. Wymyślił sobie dziewczynę. Wyssał ją z własnego palca. Od początku do końca. Jakie ma włosy, nogi i co z nim robi w łóżku. Całą historię. Teraz chodzi i opowiada. Czy kto chce, czy nie chce, musi o niej wysłuchać. Witka aż brzuch boli, płacze ze śmiechu, kiedy Jacek pojawia się na horyzoncie. Zadaje mu pytania, bardzo kłopotliwe i intymne. Jacek czuje się do głębi szczęśliwy, choć nie zawsze nadąży wymyślić na czas coraz to nowe sytuacje, których nigdy nie było. Ale jest za to w centrum uwagi. Widzi, że się nim interesują. Oczywiście każdy wie doskonale, że Jacek dziewczynę wymyślił, i słuchają jak dobrego żartu, tylko on sam wierzy święcie w to, co mówi. Wierzy, że cała ta historia naprawdę mu się przytrafiła. Na tym polega dowcip. Autentycznie się cieszy i autentycznie cierpi z jej powodu. Niektórzy zaczynają już uciekać przed nim, nudzi ich ta egzaltowana gadanina. Inni za jego plecami rysują sobie kółka na czole. Ale czy ja wiem? Może to niezupełnie takie głupie, jak się z pozoru wydaje. Mówiłam już wcześniej, że tylko wówczas ma się coś swojego, gdy się to coś samemu wymyśli. Dzień jak co dzień bywa nużący. Pozwólmy więc Jackowi na ten mały luksus. Posiadania na własność. W tym wypadku dziewczyny. Zresztą czasy się zmieniły. Dawniej ludzie wstydzili się tego słowa. Unikali go. Żeby tylko nikt się nie dowiedział. Dziś – odwrotnie. Modnie jest mówić, że się dopiero co było na leczeniu w zakładzie. Modnie i interesująco. Dziewczyny się zaraz za takiego złapią. Jak to w łóżku z wariatem? Trzeba koniecznie spróbować. Cóż więc szkodzi, że Jacek ma drobnego kiksa. Niech spróbują, jak to z wariatem.

Powoli, powoli wszystkim nam pomiesza się już dokładnie. Pewnie tak się już stało, ale granica jest bardzo płynna i trudno samemu zauważyć. Komu to gorzej, a komu lepiej. Doszło do tego, że prawda wydaje się większą nedorzecznością niż te wymyślone opowiadki, które słyszy się co dzień. Kiedy na przykład pojawia się Heniek, wiadomo, że będzie szukał chętnych na stare srebro lub obraz. Na stare kute świeczniki, dziadki do orzechów, szcypce do cukru. Heniek zwykł mawiać, że sprzedaje swoje „dobra”, potrzebuje na wódkę czy karciane długi. Dziewczyny go też kosztują. A zresztą to tylko na dziś potrzebne mu te parę groszy. Ma przecież ziemię i dobra. Jego stryj jest na Zachodzie autentycznym baronem. Posiadłości są Heńka po ojcu i stryj siedzi tam bezprawnie. Heniek w każdej chwili może tam pojechać i wyrzucić stryja z zamku. Więc żeby mu jeszcze tylko dziś pożyczyć parę złotych. Poza tym ma już kupców na to srebro i za dwa dni odda. Stryj to okropny sknera. Trzeba go jak najprędzej stamtąd wyrzucić. Ale on wciąż nie ma na to czasu. Tyle tu spraw na jego głowie. Każdego popołudnia musi odegrać co najmniej cztery godziny w karty. Już tam na niego czekają. Sprawy z dziewczynami też trzeba załatwić. Dziewczyny są czasochłonne. A tu powieść leży zaczęta, już jej więcej niż połowa. Kto za niego będzie pisał? Jeszcze za forszą trzeba się uganiać. Za głupimi paroma złociakami. Wstyd. Nawet się za to nie da wyżyć na jakim takim poziomie. Co za czasy. A baronia leży i czeka. Dwoi się Heniek i troi, żeby związać koniec z końcem i o wszystko zadbać. Mamusia też mu robi na paskudę. Każe mu, jędza, iść na studia. Uczyć mu się każe. Po cholere tyle lat pracy i męki, kiedy się jest dziedzicem

olbrzymiej fortuny. Mamusia bez wątpienia postradała zmysły. Zaraz tu pewnie przybiegnie go szukać. Musi się ulotnić, bo go jeszcze znajdzie. A dopiero co jej buchnął trochę srebra, które chowała na czarną godzinę, więc lepiej, żeby się teraz nie spotkali. Dopiero jak będzie po wszystkim, a pieniądze u niego w kieszeni.

Nerwowe jest to życie, zwłaszcza jeśli na chwilę włożyć baronię między bajki. Trzeba się porządnie namęczyć. A jak się pogada o tym zamku, to już idzie łatwiej. Można temu i owemu zaimponować. Wtedy szybciej kupi mamusine cacka. Albo pożyczycy trochę złotych i nie będzie się tak zaraz upominał, bo młody baron mógłby się obrazić. Zawsze to lepiej wygląda mieć wysokie koneksje. Od razu jest mniej smutno. I ludzie patrzą z należywym szacunkiem.

Lubię Heńka, bo na dobrą sprawę jest lepszy od wielu innych tu. Przynajmniej żyje z rozmachem. Nie utonął jeszcze tak dokładnie, wciąż wystawia głowę z tego rosolu. Wie, czego tym snobom intelektualistom trzeba. Ma na nich sposób. Kiedy siedzą i odmieniają własne nazwiska. Ten z tych – ten z tamtych. Podsuwa im barona i już ma ich z głowy. Będą teraz patrzyli jak w tęczę.

Można by jeszcze wspomnieć o Majorze. Major przeważnie czyta dużą gazetę. Kiedy przy stoliku w rogu pojawia się wielka zadrukowana płachta, można bez pudła zaryzykować stwierdzenie, że w środku siedzi schowany Major i o niczym nie wie. Nie słyszy tych szeptów i westchnień, które usiłują przeniknąć papier. Major to bożyszczce. Nastolatek i tych starszych, które spotkał zawód i nie mają już po co żyć. Przystań porzuconych. Gdyby wiedział, jak o nim marzą, jak go pragną. Co robi Major Pod Czerwonym Grzybem? Jest całkiem nietutejszy. Nie można go nigdzie zaszeregować. Ani do Elity, ani do reszty. Ale zna wszystkich. I wszyscy znają jego. Każdy chce z nim porozmawiać. Major jest INNY. Tu tajemnica sukcesu. Dziewczęta patrzą na niego z podziwem. Patrzą jak w obraz. Ostatni prawdziwy mężczyzna zabłąkał się tu przez przypadek. A jak potrafi opowiadać, kiedy już złoży w końcu tę gazetę. Co za historie! Słuchają z zapartym tchem, bo nigdy takich nie słyszeli. Przysuwają się coraz bliżej, by słówka nie uronić. A może wyciągnąć Majora na wódkę albo zaprosić do domu? Mieć go na własność choć przez kilka godzin. Odebrać innym. Nie zawsze się udaje. Major nieraz idzie, kiedy indziej jest zmęczony lub nie ma ochoty. Siedzi w kącie i nie widać go spoza gazety. Nie odzywa się. Nie snuje opowieści. Jest – a jakby go nie było. Potem znika. Nie ma go tydzień, dwa, trzy. Wszyscy są niespokojni. Czy kto nie widział gdzieś Majora? Może stało się z nim coś złego? Zginął na polu chwały w służbie obowiązku? Dostał jakieś odpowiedzialne zadanie? Albo, co gorzej, znudziło mu się przychodzić Pod Czerwonego Grzyba? O, to byłoby straszne. Więc czy ktoś nie widział gdzieś Majora? Może w mieście, może w knajpie. Gdzie jest Major? Czyżby pojechał do żony? Jak też może wyglądać ta legendarna żona Majora? Kto ją widział? Czy w ogóle istnieje, może to nieprawda, może on nie ma żony, marzy się tej i owej. Doszło do tego, że liczy się czas od Majora do Majora. Wtedy, kiedy był albo kiedy go już nie było. Inaczej rzeczywiście nie sposób byłoby tu odróżnić dzień od dnia.

I znów Major pojawia się. I znów nie widać go spoza gazety albo pije z Lolkiem, kiedy akurat ich powrót Pod Czerwonego Grzyba wypadł w jednym czasie. Albo obmyśla z Heńkiem, jak najskuteczniej wykołować mamusię. Czasem którejś z dziewczyn udaje się go złapać, na moment. Bo później i tak wszystko przepada. Major zniknie jak motylek, a jeśli nawet wróci – to i tak nie będzie już miał dla niej głowy. Więc im wszystkim tylko cudem udaje się mieć go na chwilę. Raz tej, raz innej. Reszta czeka w napięciu na swoją kolej. Żeby Major zechciał. A jak nie zechce?

Wczoraj w Jamie siedział chłopak. Taki zwyczajny chłopak. Coś w nim jednak musiało być, że na moment wyrwało mnie z odrętwienia. On nie przychodzi Pod Czerwonego Grzyba. Jakoś mu się dotąd udało nie przyjść. Złapałam się nagle na tym, że chcę mu coś powiedzieć. Chciałam go spytać, czy nie widział Kima. Kim przecież także nie chodzi Pod Czerwonego Grzyba. Dlatego była ta cała historia między nami. A może ja więcej wymyśliłam, niż było naprawdę? Może on coś wie, ten chłopak? Może przypadkiem się znają.

Ciągle nie umiem opanować strachu. Żeby nie stało się coś bardzo złego. Nie chcę nazywać tego złego po imieniu. Lepiej nie wymawiać takich słów. Żeby nie stały się faktem.

Mam do ciebie największy żal o to, że przestałeś być moim punktem odniesienia, Kim. Jediną stałością, do której się wraca. Nigdy nie mogliśmy być dłużej sami ze sobą. Wieczny brak czasu. Ciągle ktoś kręcił się obok, włożył nam w drogę. Ludzie, zdarzenia. Nie mogliśmy się uwolnić od ciągłych zależności. Wszystko było poplątane, pogmatwane tak, że trudno było się doszukać sensu, tej najważniejszej nici. Ciągły pośpiech, byłeś zawsze w biegu, zatrzymywałeś się tylko na moment i na nic by mi się zdało, gdybym cię chciała przytrzymać na dłużej, nawet siłą. Ale nie chciałam. Nie wiedziałam, na co by mi to było potrzebne. Zmuszanie ciebie do czegokolwiek. Płaczem, komediami czy szantażem. Nigdy nie potrafiłam. Co dziewczętom przychodzi tak łatwo jak chleb z masłem. Nie umiałam tego robić. Dziś żałuję. Pewnie tak trzeba było, żebyś wypłatał się z tej całej gmatwaniny, którą był każdy twój dzień. I nareszcie na coś zdecydował. Z takimi jak ty trzeba właśnie siłą. Postawić ich nagle w obliczu wyboru i nie dać więcej czasu do namysłu niż parę minut. Ale to wiem dopiero dziś. I jeszcze jedno. Te rzeczy wymuszane, jakiegokolwiek by były, nigdy nie miały dla mnie wartości. Trudno uwierzyć w szczerłość takich postanowień. Ciągle musiałabym się bać, że zaraz wszystko rozleci się na wiatr. Niektórzy tak żyją całymi latami. Na bazie tych wymuszonych decyzji. Nawet niekiedy dobrze na tym wychodzą. Znam kilka wypadków, na oko nie do pomyślenia, żeby coś takiego mogło się udać, a jednak trwa, ku zdumieniu innych. Ja bym nie umiała zdobyć się na życie od początku zbudowane na kłamstwie.

Znowu wracam myślą do Stefana. Czego on naprawdę chciał, ten człowiek? Znajduję po szufladach resztki jego pisaniny. Kolorowe reportaże z tropików, cukierkowe opowiadki o głodnych dzieciach. Szlachetność ponosiła go jak rozbrykany koń. Czy wierzył w to, co z takim zapalem przelewał na papier, czy naprawdę obchodziło go to choć odrobinę? Nigdy się nie dowiem. Nie można od ludzi wydobyć tego najważniejszego, tylko same namiastki, same pozory. Tak już jest i tak już będzie.

Dni za dniami ciągną się jak równina bez śladu miedzy. Nie ma wzlotów ani opadania. Wszystko jednostajne jak przeorana ziemia. Wykończyliśmy nasze pragnienia. Utopiliśmy szanse. Nic się nie zmienia w dniu dzisiejszym. Nic nie stanie się jutro, czego by nie było wczoraj. Wszechogarniające znużenie powtarzających się sytuacji. Pozamienialiśmy wszystko na zabawki. Na dowcipy, na hecę. Nasze siły, chęci, naszą ciekawość. Aż stały

się płaskie, bezsensowny balast przyzwyczajęń. Dzień za dniem, z wódką czy bez wódki – to na jedno. Bo nic nas już nie czeka.

Ciągle coś gramy, udajemy. Nie można się już odnaleźć w tym zalewie gry. Tygodnie spędzone w dymie wciąż w tym samym miejscu. Na ścianach wiszą portrety nas samych, dziewcząt i chłopców z Czerwonego Grzyba, bardziej rzeczywiste niż twarze przy stolikach. Te portrety są jak skorpiony, żyją życiem, które nam odebrano. Wychodzą ze ściany, wciskają się pomiędzy stoliki, wołają nas. Oczy, oczy podcienione kreską, wielkie, szkliste, mrugające światełkami, ironiczne i nieruchome. Odbijają myśli zastygłe jak krople i ostre jak nóż. Usta chciwe, łakome, powleczone pozłótką, rozchylone i zaciśnięte. Przerzucamy w milczeniu piłeczki spojrzeń, my i portrety, gra bez słów, pantomima bez gestów. Usypiamy powoli przy stolikach zapatrzeni w gęstniejący dym. Coś tu musi się stać, coś gwałtownego, żeby uwolnić nas, wyrwać z obojętności, która jest jak narkotyk, ciągle czekamy, dzień po dniu zaprzepaszczone w oczekiwaniu na to co wreszcie położy kres. Modlimy się o bombę, która rozwali te ściany, te stoliki, tych ludzi ... Chciałoby się zrobić komuś krzywdę, żeby zabolalo, mocno zabolalo...

Więc to Kim zrobił wszystkim największy dowcip. Przestał pić wódkę. Zupełnie nie pije. Oduczył się. Chodzi trzeźwy i kompletnie nie ten, co był. Najpierw go widział Lolek, który dopiero co wrócił i przysięgał, że to prawda. Nie wierzyłam, ale w końcu i ja się doczekałam. Po tylu miesiącach. Przyszedł zwyczajnie Pod Czerwonego Grzyba napić się kawy. KIM PRZYSZEDŁ NAPIĆ SIĘ KAWY. On nie cierpi kawy. Przepraszam, to jego dawne wcielenie nienawidziło kawy. Stał nad tą kawą, zupełnie nie ten co dawniej, patrzył na mnie i nic. Jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu. Jakby mnie dotąd nie znał. Takiego kawału jeszcze mi dotąd nie zrobił. Mimo że nie zawsze miał ochotę na moje towarzystwo. Najśmieszniejsze, że to było zupełnie naturalne, to jego niewidzenie mnie. Rzeczywiście patrzył, jak się patrzy na obcego, który specjalnie nie zainteresował nas niczym. W tym nie było żadnego udawania. A więc patrzyliśmy tak na siebie ładnych parę minut. On zwyczajnie, jak na tego obcego, wzrok mu się ślizgał po sali to tu, to tam. Ja – ze ściśniętym gardłem, w przerażeniu, co mu się stało, co mu się nagle stało. Po chwili uśmiechnął się, bo zobaczył kogoś ze znajomych, dziennikarza, który wpadł tu na kawę. Podszedł do niego, rozmawiali chwilę i potem... uświadomił sobie wreszcie, że to ja. Zdziwienie, niepewność, zamachał ręką. Zrobił dwa kroki w moją stronę, ale tam było wtedy bardzo ciasno, tłoczyli się wokół słupa i w połowie drogi znalazła się ona. Jego nowa dziewczyna, o której wiedziałam przez wszystkie te miesiące, że jest. Że musi być. Weszła nie wiadomo kiedy i złapała go właśnie w momencie, gdy do mnie szedł. Zatrzymał się i pogłaskał ją po włosach. Szybko dokończył swoją kawę i wyszli objęci w pół. Niewysoka blada dziewczyna. Ani ładna, ani brzydka. Nic ciekawego. I tak sobie wyszli razem objęci w pół. Zwyczajnie. A ja tak sobie zostałam. Zostałam dalej Pod Czerwonym Grzybem...

Później jechałam tramwajem. Było już ciemno. Na ulicy mokro, bo dopiero co padał deszcz. Stałam na platformie i patrzyłam, jak się świat odbija w kałużach. Bardzo ładnie się odbijał. Jak żywy. Chciało mi się śmiać. Pożartować, pohecować. Szkoda, że tu nie ma Witka, myślałam, zrobilibyśmy jakiś dowcip. Nudno jest. Koniecznie trzeba zrobić dowcip albo lepiej jakąś krzywdczkę. Na jedno wychodzi. Czemu to zawsze tylko mnie robią różne dowcipy? Nudno, aż głowa boli! Znowu ten człowiek z białą laską. Ciągłe ich pełno na tej mojej linii. Co sobie myśli taki? Jak mu tak bez przerwy ciemno przed oczami. Żeby choć raz się dowiedzieć. Denerwują mnie. Podobno mają tak wyczulony słuch i dotyk, że im zupełnie zastępują wzrok. Warto byłoby się przekonać, czy to rzeczywiście tak. On już podszedł do wyjścia, mimo że tramwaj jeszcze w biegu, widocznie chce wysiąść. Zaraz się przekonamy, czy ślepi naprawdę widzą rękami. I tą swoją laską. Aż mi dech zaparło z ciekawości, co będzie. Nie zatrzymam go, nie zatrzymam, myślałam z uciechą. Przekonamy się, jak to z tymi ślepyimi... Tramwaj jeszcze w ruchu, on wysunął laskę – niemożliwe, ale zrobił krok w przód, machnęło go silnie – i wypadł, przewrócił się na twarz, tramwaj jeszcze w ruchu, a on leżał, ten człowiek z laską, leżał i nie wstawał, nawet się nie poruszył. Ludzie biegli, jakies auto hamowało. Stałam dalej na platformie.

Nie chodzę więcej Pod Czerwonego Grzyba. Od tamtego dnia. Zapomniałam, kto to był Kim i co było między nami. A ta dziewczyna to jego autentyczna dziewczyna, od paru tygodni z nim mieszka. Maja mówiła. Bo Maja tam czasem chodzi do niego do domu. Pożyczać od jego matki żurnale.

1966-68